Dziś dodatek powieściowy

Rok 1 **Czwartek, dnia 30 kwietnia 1925 Nr. 87** **Cena 15 gr.**

CODZIENNY EXPRESS POMORSKI

Wychodzi 7 razy tygodniowo o godzinie 10-ej rano — z tygodniowym dodatkiem ilustrowanym i powieściowym

PRENUMERATA:
W ekspedycji miesięcznie 2,50 zł, z odnoszeniem lub pozamiejscowe 2,75 zł, za granicą 4,— zł. — — Redakcja, administracja i ekspedycja znajdują się w Toruniu przy Piekarach nr. 14. — Telefon nr. 647. — Redaktor przyjmuje od godz. 3 do 5 wiecz. Administracja czynna od godziny 8^{30} rano do godziny 6 wiecz.

Klęska demokracji niemieckiej i tryumf Głównej Kwatery.

Plebiscyt, który wyprowadził feldmarszałka Benckendorffa- Hindenburga na zwierzchnika władzy wykonawczej Rzeszy Niemieckiej, jest zwycięstwem obozu militarystycznej monarchji nad obozem demokratycznej republiki. Ażeby to stwierdzić nie jako objektywne wrażenie zagranicznego świata, ale jako subjektywną ocenę samych Niemców, wystarczy powołać się na ostatnią mowę kontrkandydata hindenburgowego, dr. Marksa rozszerzoną radjowo po całych Niemczech w nocy z piątku na sobotę. Dr. Marks oświadczył, że niedzielne wybory odbędą się pod znakiem alternatywy: republika czy monarchja. „Albo — albo". Około piętnastu miljonów obywateli niemieckich oświadczyło się za monarchją, około czternastu miljonów za republiką, przeszło półtora miljona wyborców oświadczyło się za oddaniem Niemiec pod władzę Czerwonej Moskwy.

Z chwilą objęcia władzy przez Hindenburga urzędowe Niemcy odzyskują tę samą fizjognomję międzynarodową, jaką miały przed wojną. Demokracja niemiecka, prześcignięta w agitacji wyborczej przez sołdateskę, osaczona z drugiej strony przez skojarzony zastęp obłąkanych wrogów cywilizacji, najmitów Moskwy i prowokatorów, pracujących dla ułatwienia dzieła reakcji, została zwyciężona. Zapewne będzie jeszcze próbowała w dalszym ciągu walczyć, ale warunki, w których będzie prowadziła walkę, są znacznie cięższe, niż były dotychczas. Jeżeli w sześciu latach powojennych, po niebywałej katastrofie niemieckiego militaryzmu, pod tchnieniem powszechnego ducha wolności i ludowładztwa, przy posiadaniu władzy w rękach, nie udało się jej zyskać przewagi nad umysłowością obywateli, słabe już tylko są widoki, aby uzyskać tę przewagę w warunkach nowych, bez ponownej katastrofy, do której dążą na oślep czynniki militarystyczne.

Uważniejszy wzrok mógł ocenić słabość demokracji niemieckiej już po metodach, jakich używała, aby się utrzymać przy władzy. Ażeby zdobyć zaufanie współ- obywateli, musiała apelować do tych samych nastrojów, na których żerowali reakcjoniści. Unikała starannie wszelkiej walki z nacjonalistycznemi tendencjami, z hasłami odwetu i odzyskania dawnego terytorjalnego stanu posiadania. Gdy w ostatnich miesiącach, ustępując polityce angielskiej, rząd niemiecki oświadcz. gotowość podania ręki mocarstwom zachodnim, zamanifestowania dobrowolnej renuncjacji z ziem, przyznanych Francji i zagwarantowania bezpieczeństwa granic swoich zachodnich sąsiadów, suggestji swojej w tym kierunku nadał bez oporu ze strony demokracji charaktern owej akcji zaczepnej w kierunku wschodnim. To, co miało być aktem pokoju, świadectwem otrzeźwienia i dobrej woli, nabrało w ten sposób charakteru międzynarodowego oszustwa i podstępu. Jeżeli nawet demokracja niemiecka w zapewnieniu, że do rewizji granic wschodnich Niemcy nie będą dążyły w drodze zbrojnej, szczerze widziała demonstrację swojego pacyfizmu, — uważała zatem konieczniejsze wpajać w umysły przeświadczenie, iż dzieje się to w widokach pewności uzyskania nanowo części ziem polskich i połączenia się z Austrją w drodze obalenia Traktatu Wersalskiego przez nacisk i intrygi dyplomatyczne.

Nie co innego właśnie, jak to demagogiczne schlebianie instynktom odwetowym i drapieżnym, agitowało za Hindenburgiem i Hohenzollernami skuteczniej, niżby to mogła uczynić własna najchytrzejsza propaganda obozu sołdateski. Masy mało są wrażliwe na subtelności łamańców logicznych. Skoro nikt im nie mówił jasno i wyraźnie, że pierwszym warunkiem pokoju i odzyskania przez Niemcy zaufania i szacunku świata jest uczciwe pogodzenie się z tem, że to co zostało zagrabione przez rabunki przeszłości, musiało być bezpowrotnie oddane, skoro nikt im nie wybijał z głowy baśni, że to Niemcy właśnie padły ofiarą intrygi, osaczenia, gwałtu, grabieży i krzywdy w wojnie, nie z ich winy wznieconej, — to, co stało się w niedzielę, było już tylko prostym wynikiem owego prymitywnego rozumowania mas, które w dźwięku nazwiska Hindenburga widziały sztandar upragnionego odwetu.

Plebiscyt niedzielny zadaje cios nadziejom, aby w bliskiej przyszości Państwo Niemieckie wyrzekło się swojej imperjalistycznej megalomanji. Jakże to wołał w radjowe aparaty w piątek wieczorem dzisiejszy władca tego państwa: „Przez politykę niemiecką ostatnich czasów szedł prąd zmęczonej rezygnacji.Lud niemiecki stracił wiarę w samego siebie. Niemcom nie wolno poddawać się temu nastrojowi wyrzeczenia się. Siły narodu muszą być zebrane i wystawione, aby przez nie dojść znowu wysoko. Niemcy nie chcą hyć ani płatnikiem świata, ani na stałe niewolnikiem". Słowa te, o ile nie są fanfaronadą militarystyczno- wyborczą, świadczą o ciężkiej psychopatji tych kół, które ujęły od wczoraj ster polityki niemieckiej. Okręt, prowadzony przez obłąkanych sterników, ma wszystkie szanse pójścia tylko na dno. Niedorzecznością, równą obłędowi niemieckiemu, byłoby jednak cieszyć się z nieszczęść, jakie to może na naród niemiecki sprowadzić Narody świata to nie okręty, płynące bez związku z sobą po oceanach świata. Złączone są wspólnie w jeden organizm gospodarczy i polityczny, wstrząsany gwałtownie przez chorobę każdego ze składowych czynników, a naj bezpośredniej zagrożonemi są oczywiście wtedy te, które przylegają ku sobie geograficznie.

Jakkolwiek sceptycznie można było oceniać szczerość, siłę, uświadomienie demokracji niemieckiej, jakkolwiek plany i hasła, któremi zamierzała utrzymać się przy władzy, musiały przez nas zwalczane w polityce międynarodowej, — tylko w dojrzewaniu tej demokracji, w rozroście jej poczucia rzeczywistości, w jej stopniowem otrzeźwianiu z demagogicznych środków działania, w jej przyszłem zdrowiu i jej przyszłej sile jest nadzieja powolnego dochodzenia narodu niemieckiego do równowagi i zeszeregowania się jego z innemi narodami w zgodnej twórczej cywilizacyjnej pracy i w spólnej obronie przed grozą zarazy, której ofiarą padły już blisko dwa miljony wyborców niemieckich. Klęska tej demokracji jest wskazówką, że jesteśmy jeszcze bardzo daleko od momentu, w który msię to stanie możliwe. I bez wzgędu na to, jak hindenburgjada niemiecka odbije się na chwilowym stosunku mocarstw Europy do Niemiec, i o ile wpłynie to na ten lub ów moment naszej aktualnej sytuacji dyplomatycznej, dojrzała polityka polska, ogarniająca szersze koła widzenia, widzieć w niej musi grozę nietylko dla Niemiec, ale i dla otaczającego świata.

Nie łudźmy się przytem, aby koła na Zachodzie, ulegające propagandzie niemieckiej, zrezygnowały tak łatwo z korzyści, jakie im daje udział w tej propagandzie. Organy Hindenburga z tryumfem powtarzały jeszcze w niedzielę rano opinję „Evening Standarda' i „New Statesmana", pełna kadzideł dla „prawości" politycznej feldmarszałka, a supozycję, że lord d'Abernon nie był obcy kandydaturze Hindenburga znajdują potwierdzenie w dzisiejszych informacjach. Polityka angielska łatwo godzi się z faktami dokonanemi, o ile znajdzie w nich jakiekolwiek punkty zaczepienia dla swoich ogólnoświatowych interesów. Dotychczas nie znalazła ich w zabezpieczeniu dzisiejszych granic Polski. I dlatego akt dokonany istnienia tych granic najsłabiej przemawia dotychczas do praktycznej wyobraźni angielskeij.

Od Wydawnictwa.

Do naszych Czytelników.

„Codzienny Express Pomorski", którego pierwszy numer ukazał się przed trzema zaledwie miesiącami, zyskał w tym krótkim okresie czasu życzliwe poparcie bardzo znacznej liczby obywateli. Pomimo to, w związku z ogólnym kryzysem gospodarczym, wydawnictwo „Codz. Expressu Pom." musiało walczyć z dużemi trudnościami natury finansowej, które ostatecznie uniemożliwiały nam postawienie pisma na odpowiedniej wyżynie. Nie chcąc zaś wydawać je nadal w obecnej, więcej niż skromnej szacie, zawieszamy „Codz. Express Pomorski" na pewien — niedługi — okres czasu. Dzisiejszy numer jest ostatnim, więc dziękujemy wszystkim współpracownikom, czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma za udzielone nam życzliwe poparcie. A równocześnie prosimy Ich, aby zaufanie, jakiem nas darzyli, przelali na wychodzący w Toruniu jedyny na Pomorzu szczerze demokratyczny organ „Głos Robotnika".

WYDAWNICTWO.
„Codziennego Expressu Pomorskiego".

Anglja chce być znów bankierem świata.

Ameryka w obawie o swe stanowisko — Handel światowy może się przesunąć.

NOWY JORK, 29. 4.

Tutejsze koła finansowe zajmują się w najżywszy sposób przywróceniem przez Anglję przedwojennego parytetu funta złotego z funtem papierowym. — Sfery Wall Street uważają ten ewenement za niesłychanie doniosły. Wpływ jego porównują z oddźwiękiem, jaki wywoła w gospodarce światowej plan Dawesa.

– Równocześnie stwierdzają tesame koła, iż Anglja ma w tem na oku bardzo doniosłe cele, które dotykają obecnego stanowiska Ameryki. Po wojnie Ameryka stała się bankierem świata, ponieważ skupiła u siebie ogromne ilości złota. — Przed wojną tranzakcje bankowe szły głównie przez Londyn. Anglja zamierza teraz odzyskać to dawne stanowisko. — Wskutek tego cały ruch handlowy świata może uledz przesunięciu.

Cały świat przeciw Niemcom.

LONDYN, 28. 4.

„Morning Post" ostrzega sprzymierzeńców że w żadnym razie nie powinni w chwili obecnej zmniejszać swych sił wojskowych nad Renem, poczem przypomina Niemcom, że

klęska Marxa nie oznacza bynajmniej zniknięcia z widowni marszałka Focha.

„Daily Graphic" robi uwagę, że Niemcy przez wybór Hindenburga uczyniły pierwszy krok na drodze wstecz. „Times" oświadcza, że wybór Hindenburga stanowi dowód, iż liczni wyborcy niemieccy są nadal takimi samymi monarchistami i wstecznikami jak w roku 1914. „Westminster Gazette" stwierdza, że

wybór sprawił jaknajgorsze wrażenie w całej opinji europejskiej.

Dla „Daily Mail" duch pruski bierze górę w Niemczech.

NOWY JORK. 28. 4.

„New York Times"

zaleca zamknięcie kredytów przemysłowych dla Niemiec aż do chwili zupełnego wyjaśnienia się sytuacji.

„New Jork Herald and Tribune" pisze:

Niemcy ponownie wkraczają na drogę wyzywania świata, obstrukcji i odosobneinia ekonomicznego i politycznego — i same one najwięcej będą cierpiały z tego powodu.

„Boston Herald" pisze: Wybór Hindenburga jest klęską, albowiem reprezentuje on najgorszą formę imperjalizmu.

Zjazd miast polskich.

Postulaty sekcji prawno-ekonomicznej.

W drugim dniu zjazdu przez całe przedpołudnie pracowały w dalszym ciągu sekcje, przygotowując wnioski, tezy i postulaty dla przedstawienia ich po południowem zebraniu plenarnem.

Najżywsze i najszczegółowsze dyskusje odbywały się w sekcji prawno - administracyjnej, a w rozprawach tych brała udział bardzo znaczna większość przybyłych na zjazd delegatów.

Zainteresowanie najzupełniej oczywiste ze względu na ważkość opracowanego przez rząd projektu ustawy gminnej i zmian, proponowanych przez zarząd związku miast.

Ustawa ta zasadniczo stanowi kręgosłup życia samorządowego, według którego kształtują się wszystkie jego sprawy. Ustala więc stosunek samorządu do państwa, jego ustrój wewnętrzny i zakres uprawnień.

Ze względu, iż sprawa samej ordynacji wyborczej znajduje się obecnie w stadjum ostrej walki politycznej na terenie Sejmu, uznano za niepożądane przeniesienie jej na grunt związku i postanowiono ten punkt zdjąć z porządku dziennego.

Zasadniczo dyskusja toczyła się nad wysuniętą przeważnie przez poznańczyków koncepcją supremacji magistratów nad radami miejskiemi. Zwyciężyła nie demokratyczna zasada uprzywilejowania magistratów i ograniczenia uprawnień rad miejskich, o czem pisaliśmy już we wczorajszym numerze.

W związku z tem kadencję rad miejskich określono na 6 lat, a magistratów na 12.

Dalej przyjęto zasadę, by miasta niewydzielone podlegały urzędom województwa kim.

Uchwalono, iż burmistrzów zatwierdzać ma minister spraw wewnętrznych, prezydentów miast pan Prezydent Rzeczypospolitej.

Cenzus wyborczy wieku dla prawa czynnego określono na lat 24, dla biernego na lat 30.

Zasadnicze te postulaty przyjęto na popołudniowem posiedzeniu plenarnem któremu przewodniczyli prezydenci Bańkowski z Wilna i Chłamtacz ze Lwowa.

Uchwały sekcji skarbowej.

W sekcji skarbowej szczegółowo rozważano potrzebę nowelizacji ustawy „O tymczasowem uregulowaniu finansów komunalnych", zgadzając się z referentem dr. Ludw. Zielińskim ,że moment obecny do podniesienia tej sprawy w Sejmie jest nieodpowiedni, ze względu na nieprzychylne jego stanowisko dla miast.

We wnioskach podkreślono trudności wypływające przy stosowaniu ustawy, która orzeka, że rząd przed nałożeniem ciężarów winien wskazać źródła pokrycia: w rzeczywistości jednak nie czyni tego. Stąd uznano, iż zarządy miast winny bronić swych praw, wypływających z ustawy i uzależnić świadczenia od wskazania źródeł.

Pozatem uznano, iż samorządy winny wnosić udziały swe do banku komunalnego, któremu należą się takie upraw nienia, jakie posiada bank gospodarstwa krajowego, nie ujawniający zresztą oczekiwanej odeń działalności.

I te postulaty przyjęto na zebraniu ple narnem.

Uchwały sekcji rozbudowy.

Bez dyskusji również zatwierdzono szereg tez i postulatów sekcji budowlanej. Wychodzą one z założenia, iż uchwalona przez sejm nowelizacja ustawy win na stanowić podstawę dla rozwoju akcji budowlanej w miastach.

Dalej między in .podkreślono zasadę by współdziałanie miast nie miało charakteru spekulacyjnego, wznoszone zaś mieszkania odpowiadały wymogom zdrowotnym i hygjenicznym.

W związku z tem zdecydowano ogłoszenie konkursu na odpowiedni typ współczesnego domu mieszkaniowego, wyznaczając na ten cel 15,000 złotych jako nagrody.

Uchwalono przeciwdziałanie podnoszeniu cen na materjały budowlane, uznając ważność produkcji własnej i organizowania się celem wspólnych zakupów. — Postanowiono prosić rząd o zmniejszenie stopy procentowej od pożyczek państwowo - budowlanych, uznając iż 5 do 6 procent jest normą zbyt wysoką. Równocześnie postanowiono prosić o przedłużenie terminu amortyzacyjnego ze względu, iż termin 12 do 15 lat jest zbyt krótki.

Zdecydowano również zwrócenie się do rządu o jaknajszybszą budowę gmachów własnych i o zwolnienie zajmowanych lokali na cele mieszkaniowe. Uznano konieczność obniżenia taryfy przewozowej na materjały budowlane i rozszerzenia kompetencyj magistratu w stosun ku do gmachów publicznych oraz nadania im prawa veta przeciw nieodpowiedniemu wyborowi planów.

Postanowiono wystąpić o przyspieszenie ustawy budowlanej i ustawy o regulacji miast i przymusowej komasacji w miastach.

Sprawy finansowe związku.

Sprawozdanie komisji rewizyjnej i budżetowej zatwierdzono, przyjmując do wiadomości, iż w r. 1923 osiągnięto 2 miljardy zysków, zaś w roku ubiegłym 27.000 złotych.

Budżet na rok 1925 określono na sumę 15,700,000 złotych, przyczem zdecydowano podnieść składki poszczególnych miast w ten sposób, że na jedną głowę ludności wypadnie obciążenie 2 groszami, gdy dotąd wydatek na ten cel wynosił 1 i pół grosza.

Po przekazaniu szeregu luźnych spraw zarządowi posiedzenie zamknięto.

Przyjęcie u p. Prezydenta Rzeczypospolitej.

O godz. 8 i pół wieczorem na zaproszenie p. Prezydenta Rzeczypospolitej ściślejsze grono delegatów, składające się przeważnie z członków prezydjów, udało się do Belwederu.

Na przyjęciu tem, które przeciągnęło się do północy, omawiano potrzeby miast a w szczególności projekt ustawy o gminie miejskiej. Dziś w godzinach przedpołudniowych odbędzie się pokaz szeregu instytucyj miejskich, urządzony przez magistrat.

Czas i jego tajemnice.

Czas „astronomiczny", „miejscowy," „środkowo - europejski" i t.p. — Jak dzielono dobę u Chaldejczyków, Greków, Egipcjan. — Klepsydry asyryjskie, zegary słoneczne. Pierwszy zegar kółkowy. — „Czas letni".

Od 1. stycznia 1925 r. obowiązuje skutkiem porozumienia się międzynarodowe go w sprawie podawania wszelkich czasów astronomicznych nie już, jak dotych czas, dzielenie doby na 24 godzin, zaczynając od 12-ej w południe, ale t. zw. „dzień astronomiczny", rozpoczynający się o godz. 12-ej w nocy. Ten nowy podział czasu nosić będzie nazwę „czasu światowego", przyczem godziny „czasu światowego", noszą liczby porządk. od 0 do 24. Czas środkowy europejski, według którego liczy się czas w życiu obywatelskiem począwszy od roku 1893, nie nakrywa się dokładnie z czasem astronomicznym skutkiem tego że liczba 12-cie pojawia się dwa razy. Szósta godzina według „czasu światowego" równa się siódmej godzinie przed południem, 18-ta zaś godzina czasu światowego, oznacza godzinę 7-ą popołudniu według czasu środkowo- europejskiego.

Ludzie, którzy nie zajmują się wyższemi dziedzinami nauki astronomji, nie zauważą z pewnością tej międzynarodowej nowości. A jednak podział czasu, według którego kierowali się astronomowie dotychczas, sprawiał im duże niewygody. To też już na kongresie w Waszyngtonie w r 1899 pojawił się wniosek zniesienia go, przepadł jednak z powodu oporu Francji.

Podział doby na 24 godzin znajdujemy już u starożytnych Babilończyków. Dzień zaczynał się u nich równo ze wschodem słońca. Grecy i Rzymianie dzielili dzień na 12 godzin, noc również na 12, tak, że godziny dnia i nocy przedłużały się lub skracały w miarę przybywania lub ubywania dnia, czy nocy. Ateńczycy, a później także żydzi zaczynali dzień ze wschodem słońca. Niektóre starożytne ludy posiadały swą mitologję godzin. Tak np. Egipcjanie mieli boginki godzin, a mianowicie 12 dziennych i 12 nocnych, towarzyszących bogowi słońca Ra w jego podróży naokoło świata. Prócz tego istniało całe mnóstwo innych bogów którym poświęcano godziny ze względów astrologicznych. Aztekowie w Meksyku czcili w uwzględnieniu swych 9 piekieł i 13 nieb, w które wierzyli, 9 bogiń dnia i 13 bogiń nocy, u Chaldejczyków zaś miała każda godzina jako patrona planetę.

O sposobie, w jaki podzielono dzień na godziny, mówi ciekawe podanie z zamierzchłych czasów. Starożytni Egipcjanie mieli bożka imieniem Thot, który odpowiadał mniejwięcej greckiemu Hermesowi. Podobnie jak Hermes, tak samo Thot dokonywał rzeczy zdumiewających. Bóg ten, uchodzący za uosobienie inteligencji, uczynił spostrzeżenie, że pawiany, pod wielu względami podobne do ludzi, oddają z ogromną regularnością 12 razy w dniu wodę z siebie. To miało go naprowadzić na myśl podzielenia dnia na 12 godzin.

Starożytni posługiwali się zegarami słonecznemi, piaskowemi i wodnemi, t. zw. klepsydrami Asyryjczycy już w VI. stuleciu przed Chrystusem posługiwali się klepsydrą, składającą się z metalowego naczynia cylindrycznego, posiadającego w dnie maleńki otwór. Przy wschodzie słońca napełniano naczynia wodą, za każdym zaś razem, a działo się to mniej więcej 6 razy w ciągu dnia, gdy woda wyciekła, ogłaszał to specjalny Herold. Znacznie późniejsze klepsydry piaskowe są i dziś jeszcze w użyciu mianowicie u żeglarzy. W średnich wiekach służyły często jako czasomierze świece, a raczej czas, w jakim wypalały się. W tym celu wyrabiano świece różnej grubości i długości. Pierwszy zegar kółkowy, mechaniczny miał powstać rzekomo, data jeszcze nie jest ustalona, w XI. stuleciu. Do jakiej doskonałości doszła sztuka zegarmistrzowska — świadczy o tem chronoskop, przy którego pomocy jesteśmy w możności wymierzyć jedną 400-tysięczną cząstkę sekundy.

Wie o tem dziś każde dziecko, że podczas gdy u nas słońce stoi w zenicie, na drugiej półkuli, przeciwległej nam, panuje czarna noc.

Różnica w miejscowym czasie, dotkliwie dająca się odczuwać zwlaszcza w ruchu kolei żelaznych, doprowadziła z czasem do tego, że poszczególne państwa zaprowadziły u siebie „czas kolejowy", przyczem obowiązywał zazwyczaj „czas przejściowy" w stolicy. Z dniem 1. kwietnia 1893 r. zaprowadzono czas środkowoeuropejski m. in. w Niemczech i b. Austrji czas, wskazujący dokładnie o godzinę więcej, niż zegar w Greenwich, a odpowiadający mniej więcej „czasowi miejscowemu" w Starogardzie. Był to duży krok naprzód. Także Polska, Czechosłowacja, Jugosławja, Szwecja, Włochy, Danja stosowały się do tego czasu. Ameryka północna, Australja i Japonja mają czas, różniący się o całą godzinę od czasu greenwichskiego. Czas greenwichski obowiązuje w Anglji, Belgji, Hiszpanji, podczas gdy Francja, Holandja, Portugalja, Grecja, Rosja i Egipt posiadają swe specjalne czas ykolejowe. Istnieje nadto jeszcze czas „wschodnio- europejski", zastosowany w Bułgarji, Rumunji i w części Afryki południowej. Czas ten wyprzedza o pełne dwie godziny greenwichskie.

W czasie wojny światowej zaprowadzono w Niemczech, Austrji, a później i w innych państwach, m. in. w Polsce po wojnie t. zw. „czas letni", zaczynający się 1. kwietnia, kończący się zaś 1. października, przyczem cofano zegar o 1 godzinę wstecz. Celem tego zarządzenia była oszczędność na świetle, prądzie elektrycznym i węglu i zysk pełnej godziny światła dziennego.

O szkołę polską na Pomorzu.

VIII.

Z uwag naszych wyrażonych w dziale VI. a zamkniętych oświadczeniem: „Niesłuszną rzeczą byłoby zwrócić się do nauczycielstwa **samego** — z pretensjami, że grzeszyło dzielnicowością, którą grzeszyć musiało — nawet pomimo swej najlepszej woli" oraz z uwagi, zamieszczonej w rozdziale VII. o konieczności tworzenia **przeciwwagi** dla pewnych **wyłącznych** sposobów myślenia naniesionych z innych terenów — wynika jasno, że postulat wyrażony w rozdziale siódmym jest raczej wskazówką na przyszłość, niż monologiem dzwoniącem przeszłości. Dlaczego? Wyjaśnienie jest bardzo proste: Jeśli nauczycielstwo, rekrutujące się z sił napływowych, nie znalazło owej pożądanej **przeciwwagi** poza sobą i miało ją dopiero wypracować z własnych doświadczeń życiowych, jeżeli nadto władza szkolna upostaciowana w Kuratorjum pojęła autonomję szkolnictwa polskiego na Pomorzu w ten sposób, iż wszelkie procesy rozwojowe podporządkowała dogmatowi o **współodpowiedniości** niemieckiego zmysłu ładu i porządku i małopolskiej tradycji urzędniczej, — trudno w istocie żądać, aby kompletujące się w takich warunkach nauczycielstwo mogło było **myślą świadomą** wyprzedzić życie, wyjść nagle z własnej, naturalnej, odziedziczonej po przodkach skóry, wyeliminować doświadczenie, które kazało na siebie czekać. Stwierdzamy to z całym spokojem, że doświadczenie owo **nie** mogło **nie** stać się—bolesnem. Stwierdzenie to przytępia nieco ostrza wzajemnych oskarżeń i zarzutów: Pomorzan i Nie-Pomorzan. W każdym razie trzeba będzie na przyszość być ostrożnym w osądzaniu (zbyt głośnem i naiwnem zarazem) pewnych objawów, zwyczajów, obyczajów, praktyk — na pod stawie prostego „**podobania się**" lub „**niepodobania się**". Polską swobodę i wolność radzibyśmy widzieć jako **swobodę opanowania się**, prowadzoną w konsekwencjach do swobody władania. Jestto problem psychologiczny niesłychanej wagi dla narodów wolnych — ma to zatem znaczenie szersze. Wszelkie — podobne naszym doświadczenia wewnętrzno - polityczne powinny nas krok za krokiem zbliżać do tej pożądanej dojrzałości — męskiej. Tej zdolności opanowania się i przekucia jej na broń, na pocisk i tarczę — brak nam jeszcze. A powinno to stać się ideałem przedewszystkiem polskiej — **inteligencji.**

Skoro jednak w ten sposób oświetlimy i charakteryzujemy naszą sytuację, nie możemy powstrzymać się od uwagi, że może w danym wypadku przecież lepiej było oprzeć się na gotowych wzorach biurokratycznych (małopolskich czy niemałopolskich, to ostatecznie obojętne), aniżeli stwarzać sztuczne warunki dla jakichkolwiek innych eksperymentów — niedostatecznie przemyślanych i przygotowanych. Tej uwagi nie chcemy rzucać od niechcenia. Jest ona konieczna w szeregu wszelkich **pro i contra.** Owszem jesteśmy skłonni zaznaczyć jej ważność bardzo silnie — dla osłabienia i złagodzenia **za wczesnych** inwektyw, rewizyj, wiekby one płynęły. Idziemy aż tak daleko, że gdyby nawet dało si ędowieść, że osławiony **biurokratyzm** Kuratorjum, który w ciasną uliczkę wpędził całe pomorskie nauczycielstwo, miał prowadzić pośrednio czy bezpośrednio do znanych już dzisiaj wszystkim zatargów między szkołą a społeczeństw., nie uważalibyśmy za stosowne — wycofać z obiegu — rzuconego teraz pytania: „Co lepiej?". Takie jest nasze stanowisko wobec przeszłości. Na tem także opieramy nasze rozumienie, że kuratorjum broniło swej sprawy z pełną samowiedzą i poczuciem słuszności.

Jeśli jednak o **przyszłość** chodzi, sądzimy, że owa „**słuszność**" weszła w nową fazę rozwoju, że szkoła polska na Pomorzu ze społeczeństwem — nie może być na przyszłość tolerowany. Domagamy się rewizji podstaw współżycia domu rodzicielskiego i szkoły. I szkoła i społeczeństwo — dojrzewają do tej rewizji. Również nauczycielstwo (jako takie) pomimo obecnego ciężkiego położenia musi być wyprowadzone z ciasnej uliczki kończącego się okresu — albo raczej musi odnaleźć **właściwą** drogę, **organizując** swoją myśl zbiorową. Nie dokonano tego jednak — bez pomocy **władzy centralnej,** która jedna powołana jest do tego, by **politycznym sens problemu szkolnego na Pomorzu** wyłuskać z łupinek czasu i oczynić zeń ziarno, rodzące zdrowe owoce.

Kasjopea.

(Ciąg dalszy nastąpi w „Głosie Rob.")

Teatr Miejski w Toruniu.

Co wystawił i co jeszcze wystawi.

Sezon Teatru Miejskiego pod dyrekcją Karola Bendy, rozpoczęty dnią 12. września 1924 r., wchodzi właśnie w nową fazę — „wiosenną". 2-go maja wejdzie na afisz piękna sztuka patrjotcyzna hr. Morstina p. t. **„Szlakiem legjonów"**. Następnie przewidziane są kolejno premjery: **„Papa,** głośna lekka komedja de Flersa i Caillaveta i **„Lilla Weneda"** genjalne arcydzieło nieśmiertelnego wieszcza Juljusza Słowackiego (rolę Derwida kreować będzie specjalnie zaproszony mistrz **Józef Kotarbiński** — pełną czaru Lilą Wenedą będzie **Halina Cieszkowska,** niezrównana jej odtwórczyni (premjera dn. 16. maja).

W dziale muzycznym przewidziane są występy utalentowanej artystki **Bronisławy Oleskiej,** poczem powróci znów ukochany „słowik", który zdobył sobie serca całego Torunia — **Wiktorja Kawecka.** Repertuar przyniesie premjery **„Pięknej Heleny"** Ofenbacha (dn. 5. maja), **„Wesołej wdówki"** Lehara, oraz **„Król się bawi"** Nelsona.

Dotychczasowy dorobek repertuarowy bieżącego sezonu przedstawia się następująco:

W dziale literatury rodzimej wystawiono: Z. Krasińskiego **„Irydion"** (2 razy), Fr. Zabłockiego **„Fircyk w zalotach"** (9 r.), M. Bałuckiego **„Ciepła wdówka"** (9 r.) i **„Gęsi i gąski"** (8 r.), G. Zapolskiej **„Sybir"** (17 r.), J. Żuławskiego **„Eros i psyche"** (9 r.), A. Fredry **„Śluby panieńskie"** (2 r.), J. Szaniawskiego **„Ptak"** (9 r.), St. Krzywoszewskiego **„Edukacja" Bronki"** (8 r.) i **„Agentka bolszewicka"** Maleszewskiego (6 r.) oraz trzy wieczory okolicznościowe: ku czci Sienkiewicza z tegoż twórcy **„Zagłobą swatem"** (5 r.), ku uczczeniu powstania listopadowego: **prolog „Nocy listopadowej"** Wyspiańskiego i cztery fragmenty **„Kordjana"** Słowackiego (2 r.), oraz świąteczne **„Betleem Pomorskie** (3 r.).

Literaturę obcą reprezentowali: angielską Oskar Wilde: „Mąż idealny" (5 r.),

niemiecką Hauptman: „Hanusia" (w przekładzie Konopnickiej (6 r.),

francuską Verneuille: „Musisz być moją" (5 r.), Tristana Bernard: „Prawo pocałunku" (10 r.), Andre Picard: „Małżeństwo Fredeny" (12 r.), Bernstein: „Złodziej" (9 r.), Rene Bazin „W niemieckich szponach" (9 r.),

rosyjską L. Urwancow: „Wiera Mircewa" (12 r.) i Surgucziewa „Jesienne skrzypce" (4 r.).

Ogółem wystawiono premjer oryginalnych 12, tłomaczonych 9; w nadchodzącym zaś repertuarze znajdują się 4 sztuki oryginalne i 2 tłomaczone.

Wdziale muzycznym miast uprawianego dotąd wodewilu (jak n.p. „Za oceanem", „Karnawał w Warszawie", „Polak z dolarami", „Polacy w Ameryce", „Krowoderskie zuchy" i t.p. (wprowadzono operetkę serjo, wystawiając kolejno: Jana Straussa „Zemstę nietoperza" (17 r.), Kalmana **„Księżnę Czradaszkę"** (17 r.), „Hrabinę Maricę" (15 r.), i „Manewry jesienne" (7 r.), (dotąd na repertuarze) oraz „Cnotliwą Zuzannę" Gilberta (13 r.).

Prócz zespołu stałego w przedstawieniach dotychchczasowych udział brały następujące artystki wasrzawskie: H. Larys Pawińska („Fircyk w zalotach"), „Mąż idealny" i „Wiera Mircewa"), L. Dunin Osmolska („Eros i Psyche", „Złodziej", „Jesienne skrzypce"), H. Cieszkowska („Ptak", „Edukacja Bronki", „Śluby panieńskie", „Agentka bolszewicka". — W działę muzycznym zaś następujące śpiewaczki stołeczne: J. Bielska („Zemsta nietoperza"), O. Orleńska („Czardaszka", „Zuzanna", „Marica") i słynna Wiktorja Kawecka („Marica" i „Manewry jesienne").

Obywatele!

Dzień 3-go Maja, rocznicę wiekopomnej Konstytucji 1791 r. a dziś uroczyste święto Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, obchodzić będzie w tym roku Pomorze po raz szósty w wolnej i niepodległej Ojczyźnie.

Dzień ten winien być nietylko urzędowym aktem uroczystym, lecz nadewszystko stać się Świętem Narodowem Polaków — świętem całej ludności, stanów wszystkich i wszystkich warstw społeczeństwa. Winien się stać świętem radości i wesela, w którem serca polskie odczują głęboko radosną świadomość wolności i niepodległości Narodu Polskiego!

Po wiekowych mrokach niewoli i udręki, które bezpowrotnie minęły i nigdy — dopóki żyć będą Polacy — niewrócą, uczcić powinniśmy dzień ten słonecznem, jasnem i radosnem wspomnieniem chwały i potęgi polskiej, co narodowi po trzykroć rozdartemu jedność wróciła i moc i wolę promiennego Jutra!

W myśl więc życzenia Pana Prezydenta i Rządu Rzeczypospolitej wzywam ludność Pomorza, aby — obchodząc w serdecznej łączności ducha dzień 3-go Maja —radosnej dała początek tradycji dnia tego jako Narodowego Święta Wolności i Wesela!

Wojewoda Pomorski
Dr. Wachowiak.

Toruń, dnia 27. kwietnia 1925 r.

Apel do urzędników.

Szanowni Koledzy! Spółdzielnia Urzędników Państwowych i Samorządowych w Toruniu już od lat trzech odegrała w okresie swej działalności niejednokrotnie ważną rolę w życiu gospodarczem szerokich kół pracowników publicznych, chroniąc ich skutecznie przed wyzyskiem niesumiennych spekulantów.

Zwłaszcza w okresie postępującej dewaluacji waluty markowej uratowała

Stosunki ekonomiczne ukształtowały nasza Spółdzielnia wiele jednostek, gospodarczo słabszych, od niechybnej ruiny majątkowej, trzymając w szachu zgraję paskarzy i zmuszając ich nieustannie konkurencją swą do obniżania cen. się obecnie nieco odmiennie, **nie doznały jednak naprawy na lepsze.** Także i w tej nowej konstelacji gospodarczej **nie możemy zasypiać na laurach, lecz musimy** być zawsze czujni i gotowi do obrony, aczkolwiek odmienne stosunki narzucają nam **inne metody. obrony.**

Jakichkolwiekbądź zmian, złych czy dobrych, moglibyśmy się spodziewać w przyszłości, **to w żadnym wypadku nie powinniśmy dopuścić do zwinięcia placówki,** stworzonej z takim trudem, instytucji która w swej historji ma już tyle kart chlubnych i tyle pożytecznych czynów.

Po smutnym upadku tylu innych poczynań pracowników publicznych przetrwała nasza Spółdzielnia najdłużej i ostawszy się przed niejednym szturmem, przetrwawszy niejedną ciężką godzinę — stoi ciągle jakby ta **ostatnia jeszcze twierdza** solidarności i spoistości pracowników publicznych.

Nie opuszczajmy jej teraz przed czasem. Kto żyw na mury i do pracy.

Gdybyśmy raz zwinęli tę pożyteczną instytucję — ponownie jej stworzyć **nie** zdołamy tak łatwo. Dziś mamy lokal, urządzenie, dziś mamy już pewne tradycje. **Wartości takich nie zdobędziemy później tak łatwo.**

W sobotę, dnia 9. maja 1925 r. o godz. 7-ej wiecz. odbędz. się w dużej sali „Dworu Artusa" Walne Zgromadzenie wszystkich członków naszj Spółdzielni.

Zgromadzenie to ma wyłonić z siebie nowy Zarząd, nie powinno zatem braknąć na tem Zgromadzeniu żadnego z Szanownych Członków naszych. Tylko poważny zastęp wszystkich P. T. Członków może wyłonić odpowiedni Zarząd. Gartka zaś szczupła nie zdoła dokonać tak ważnego zadania.

Porządek dzienny obrad ogłoszony był w miejscowych pismach.

Prosimy gorąco o gremjalny udział w Zgromadzeniu.

Zarząd Spółdzielni Urzędników Państw. i Samorządowych w Toruniu.

Spółdzielnia Gospodarcza Urzędników Państwowych i Samorządówych w Toruniu.

ZAWIADOMIENIE

Niniejszym zawiadamia się P. T. Członków, że w myśl uchwały zapadłej na walnem zebraniu dnia 29. 3. br. następne walne zebranie odbędzie się w sobotę, dnia 9. maja b. r. o godzinie 7-ej wieczorem w dużej sali Dworu Artusa.

Porządek obrad jak poprzednio ogłoszony — bez zmiany.

Toruń, dnia 30. kwietnia 1925 r.

Rada Nadzorcza.

Restauracja „Sklep Ratuszowy"

odrestaurowana jest od zaraz do przejęcia i w tym celu odbędzie się publiczny przetarg ustny dnia 5. maja br. o godzinie 11 w ratuszu, pokój 29.

Bliższych informacyj o warunkach dzierżawy udziela się reflektantom poprzednio w godzinach służbowych w ratuszu, pokój 29.

Wadjum wynosi 500,— złotych.

Toruń, dnia 29. kwietnia 1925 r.

Magistrat.

Zarząd Elektrowni i Gazowni

podaje do wiadomości wszystkim konsumentom, że w razie słabego ciśnienia gazu należy pisemnie lub telefonicznie powiadomić gazowuię, a odnośne braki zostaną bezpłatnie usunięte przez monterów.

Jednocześnie powiadamia się, że czyszczenie kuchenek i pieców kąpielowych uskutecznia Gazownia za minimalną opłatą.

Ogłoszenie.

Dekretem z dnia 8-go kwietnia 1925 r. L. dz. S. M. 1568/25 zatwierdziło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem Skarbu uchwałę Rady Miejskiej m. Torunia z dnia 23-go grudnia 1924 roku w przedmiocie obniżenia stawek podatku od oświetlenia elektrycznego i gazowego w lokalach z wszystkiem zabiegami i w lokalach zabaw, rozrywek i widowisk.

Uchwała, objaśniająca szczegółowo ten podatek, wywieszona jest w skrzyni ogłoszeń w bramie ratuszowej i ukaże się w najbliższym numerze „Tygodnika Toruńskiego".

Toruń, dnia 28-go kwietnia 1925 r.

MAGISTRAT.

Toruń, czwartek 30 kwietnia

Co niesie dzień?

TEATR MIEJSKI.

Dziś, w czwartek, po raz ostatni (**ceny do połowy zniżone**) piękna, głęboko wzruszająca podniosła w nastroju patrjotyczna sztuka francuska Rene Bazin'a **„W niemieckich szponach"**, doskonale grana przez cały zespół pod wodzą reżyserską p. **Zdzitowieckiego.**

Jutro, również ostatni raz — (**ceny o 35 proc. zniżone**) melodyjna operetka Kalmana **„Manewry jesienne"**.

W sobotę premjera dramatu narodowego Ludwika Hieronima Morstina **„Szlakiem legjonów"**. Reżyseruje dyr. **Benda**, w głównej roli niewieściej ukaże się p. **Halina Cieszkowska.**

W niedzielę, dnia 3. maja o godz. 4-ej popoł. **bezpłatne** przedstawienie genjalnego dzieła Fredry **„Śluby Panieńskie"**, w pierwszorzędnej obsadzie, wieczorem przedstawienie uroczyste **„Szlakiem legjonów"**.

POŻAR.

Dzisiaj w nocy, straż pożarna została przywołana d odomu p. prof. Przybyły, Plac Teatralny 40, w którym powstał pożar, który tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności nie przybrał większych rozmiarów.

Pożar powstał w pralni, mieszczącej się na strychu, prawdopodobnie od żużla, który wypadł z pieca na podłogę. Podłoga była obita blachą, ale widocznie była w niej szpara, poprzez którą żużel dotarł do podłogi. Ogień zauważono późno w nocy, około godziny 2-ej, dopiero po przepaleniu się sufitu nad kuchnią w mieszkaniu p. redaktora Zagierskiego.

Pan Z. zauważył ogień tylko dzięki temu, że po położeniu się do łóżka, nie mógł usnąć. Ta chwilowa bezsenność uratowała państwu Z. mienie a może i życie, bowiem w kilkadziesiąt minut później jedyne przejście z sypialni do pokojów frontowych i schodów zagradzałoby morze płomieni, zaś ucieczka oknem, ze względu na wysokość (4-te piętro) byłaby niemożliwą.

Przywołana straż pożarna pod kierownictwem p. dyr. Klińskiego, szybko uporała się z pożarem. Nasza dzielna straż przy tej okazji dała nowy dowód sprawności, przybywając na miejsce pożaru w pół minuty po alarmie. Szkody są znaczne. Dom jest ubezpieczony.

EGZAMIN KURSU PRZODOWNIKÓW OKRĘGU XII. P. P.

odbył się w dn. 27. i 28. b. m. w Grudziądzu, w obecności pp. naczelnika wydziału bezpieczeństwa publ. P. U. Woj., inż. Kołka, prezesa sądu apelacyjnego, przedstawicieli prokuratorji, dowództwa O. K. VIII., komendanta okr. XII. P. P. insp. Wizimirskiego, szefa pol. polit. nadkom. Lisowskiego i in. Egzamin wykazał bardzo znaczne postępy egzaminowanych tak w dziedzinie wiedzy fachowej jak i ogólnej.

Senzacyjny wykład Prof. Kordjana Arskiego na temat:

CO TO JEST MORD RYTUALNY?

Prof. Kordjan Arski znakomity okultysta i metapsycholog przybędzie niebawem do naszego miasta i **w piątek dnia 1 maja br. o godz. 8 wieczór w sali Dworu Artusa** wygłosi senzacyjny wykład z dziedziny okkultystycznej na temat **„Co to jest mord rytualny?"** — jego istota i znaczenie w przeszłości i teraźniejszości. Treść wykładu: Rys etnograficzno-historyczno-okkultystyczny o zabobonie rytuału krwi. Potęga prany krwistej w rytuale czarodziejstwa i magji Fausta i wielu innych magów oraz nowoczesnych sektach antychrześcijańskich. Czy sekty te specjalnie żydowskie używają krwi do celów rytualnych? Co mówi talmud o rytuale krwi? Procesy o tak zwane mordy rytualne w Polsce od 14 wieku po dzień dzisiejszy. Dociekania okkultystyczne pro i contra legendzie o mordzie rytualnym. Rozwiązanie naukowe krwawej zagadki. Synteza i wnioski. Senzacyjny ten wykład prof. Kordjana Arskiego powtarzany był kilkadziesiąt razy w stolicy przy olbrzymim udziale publiczności w obecności najpierwszych dostojników Państwa — podobnie w innych miastach Polski wykład ten prof. Kordjana Arskiego cieszył się nadzwyczajnem przepowodzeniem i powtarzany był kilkakrotnie — niewątpliwie i w naszem mieście sala wypełniona będzie po brzegi. Wykład o mordzie rytualnym winien w szczególności zainteresować kulturalne sfery naszego miasta przedstawicieli duchowieństwa, urzędów, pedagogów, młodzież kształcącą się i t. d. Bilety po cenach przystępnych są do nabycia wcześniej w księgarni „Ignis" ul. Szeroka.

Zwracamy uwagę P. T. Dyrekcjom szkół w naszem mieście, że na odczyt naukowy prof. Kordjana Arskiego p. t. „Co to jest mord rytualny?", który winien zainteresować najszersze koła młodzieży szkolnej bilety dla kształcącej się młodzieży są po 50 groszy i sprzedawane będą w dniu wykładu wieczorem przy kasie.

Program obchodu 3 Maja w Toruniu.

Dnia 2. maja o godz. 9-ej wiecz. uroczysty capstrzyk wojskowy na Rynku Staromiejskim koło ratusza i przemarsz poszczególnych oddziałów z orkiestrami przez ulice miasta.

O godz. 7-ej wiecz. popularne odczyty na temat „Konstytucja 3. Maja" w sali „Strzelnica" przy ul. Przedzamcze wygłosi p. prof. Kowalski;

w sali „Victoria" przy ul. Grudziądzkiej wygłosi ppułk. Gilewicz;

w sali „Polonia" przy ul. Mickiewicza wygłosi redaktor Sydow;

w sali Radomskiego przy ul. Lubickiej wygłosi redaktor Zagierski;

w Gimnazjum żeńsk. przy ul Małe Garbary wygłosi

wGimnazjum męsk. przy ul. Wielkie Garbary wygłosi

O godz. 7-ej wiecz. w Kasynie garnizonowym Uroczysta Akademja. Wstęp za zaproszeniami.

Dnia 3. maja: o godz. 6-ej rano hejnał z wieży ratuszowej odegrany przez trębaczy wojskowych i pobudka odegrana przez orkiestry wojskowe.

O godz. 8 i pół zbiórka oddziałów wojsk, policji, straży pożarnej, przedstawicieli Władz i Urzędów i po 4 delegatów ze sztandarami (o ile jest) wszystkich towarzystw, cechów, korporacyj etc. na Placu Św. Katarzyny. Delegacje ustawią się wedle wskazówek otrzymanych od D-cy parady przez radcę miejskiego p. Makowskiego.

O godz. 8,45 przegląd wojska.

O godz. 9-ej Msza polowa na Placu Św. Katarzyny (w razie niepogody w kościele garnizonowym). Po mszy defilada wojsk i korporacyj na Placu Św. Katarzyny.

O godz. 10-ej uroczysta msza św. z „Te Deum" i odśpiewanie „Boże coś Polskę" w kościele Św. Jakóba.

O godz. 12-ej odsłonięcie tablicy pamiątkowej przy gmachu Urzędu Wojewódzkiego dla pierwszego Wojewody Pomorskiego śp. Stefana Łaszewskiego, następnie wręczenie odznaczeń.

O godz. 3-ej popoł. rozpoczęcie zabaw ludowych i zawodów o nagrody w pobliżu „Cegielni" począwszy od placu koło pomnika Moniuszki na całej przestrzeni aż poza „Strzelnicę" jak i na Stadjonie wojskowym a w szczególności:

Zawody na Stadjonie: 1) defilada wszystkich zawodników przed trybuną, prowadzona przez najstarszego z zawodników; 2) ćwiczenia gimnastyczne pod kierownictwem kapitana Wanickiego: 3) match piłki nożnej odegrany między reprezentacyjnym odziałem m. Torunia a oddziałem garnizonu toruńskiego pod kierunkiem pułk. Czopora i pp. Czuczewicza i Wyrobisza; 4) pokaz piłki polskiej przez Oficerską Szkołę Artyu. — Mokre; 5) bieg na 1 500 mtr. pod kierownictwem por. Bąka, por. Wojewódzkiego i p. Tomaszewskiego; 6) bieg szturmowy pod kierownictwem majora Kaufera, por. Niemca i por. Paderewskiego; 7) sztafeta olimpijska 100 — 200 — 400 — 800 pod kierownictwem por. Laurentowskiego, por. Muszyńskiego i p. Zembika; 8) bieg z płotkami pod kierownictwem p. kpt. Józefowicza, por. Zygmańskiego i pp. Kandyby i Stefanowicza; 9) skok o tyczce pod kierownictwem kapitana Bruzdy, por. Odyńca i p. B. Makowskiego; 10) konkurs hipiczny (30 jeźdźców) zorganizowany przez Szkołę Oficerską Artylerji z Mokrego.

Punkt zborny dla zawodników o godzinie 2-ej na Stadjonie. Wstęp na Stadjon bezpłatny. Dzieci niżej lat 14 mają prawo wstępu tylko w towarzystwie osób starszych. Wejście na trybunę za względu na ograniczoną ilość miejsc tylko za okazaniem imiennych zaproszeń. Przez cały czas zawodów przygrywać będzie orkiestra saperów i śpiewać będzie chór. Bufet na miejscu.

Równocześnie w lasku koło Strzelnicy zorganizowaną będzie pod kierownictwem ppułk. Gilewicza ruchoma wystawa z uwzględnieniem obrony przeciwgazowej.

W pobliżu wystawy: 1) odbędą się zawody zespołów w zakr. ratownictwa, 2) pokazane będzie działanie miotaczy ognia, 3) za małą opłatą publiczność będzie podnoszona balonem na uwięzi w przestworza.

W lesie i parku przyległym do Strzelnicy i Cegielni odbędą się zabawy o następującym programie: **o godz. 2 i pół** wyjadą z koszar Piłsudzkiego 4 wozy z uczestnikami **Krakowskiego wesela** z muzyką i **Banda cyganów** i w specjalnie wybudowanej karczmie odbywać się będą tańce pod kierunkiem p. Pieniążka.

Następnie odbędą się: wyścigi w workach, biegi zręczności z jajami, popisy szybkości na bosaka, poszukiwanie skarbu w marmeladzie, próba równowagi na belce, wyścigi w górę po słupie 6 metrowym, karusel, huśtawki, muzeum osobliwości, bezdymne i bezhuczne strzelanie do celu i inne niespodzianki. **Wszystko o nagrody!**

Przez cały czas zabawy przygrywać będzie oryginalna orkiestra bałałajkarzy i śpiewać będzie chór. — Wstęp wolny. — Bufet w miejscu.

Równocześnie na placu koło pomnika Moniuszki zabawy i gry towarzyskie dla dziatwy pod kierunkiem pp. generałowej Thomme i Niekraszowej. Przez cały czas przygrywać będzie orkiestra 8. p. a. c. i śpiewać będzie chór. — Wstęp wolny. — Owoce, ciasta i napoje na miejscu.

Od godz. 1—3 popoł. tramwaje dowożą publiczność na wszystkich linjach do Cegielni bezpłatnie.

Równocześnie na boisku tennisowym przy ul. Mickiewicza konkurs tennisowy pod kierunkiem p. Maltzego. — Regulamin i bliższe szczegóły na kortach tennisowych.

O godz. 4-ej popoł. popularne przedstawienie w Teatrze Miejskim. Odegraną będzie komedja Al Wifredny p. t. **„Śluby panieńskie"**. — Bilety wolnego wstępu

O godz. 6-ej wiecz. zakończenie zawodów i rozdanie nagród na Stadjonie zwycięzcom.

O godz. 6 i pół wiecz. wymarsz zwycięzców z muzyką na czele do miasta.

Punktualnie o godz. 8 i pół wiecz. uroczyste przedstawienie w Teatrze Miejskim. Po przemówieniu p. prof. Münnicha odegraną będzie sztuka w 4 aktach Morstina p. t. „Szlakiem Legjonów".

O godz. 10-ej wiecz. w sali „Dworu Artusa" zabawa ludowa„ urządzona staraniem Tow. śpiewu „Lutnia" urozmaicona śpiewem i tańcami przy dźwiękach orkiestry Policji Państwowej.

Za Komitet:

Komendant Obozu Warownego

Grabowski, pułk.

Prezydent miasta: Bolt.

WALNE ZEBRANIE TOWARZYSTWA GRAFICZNEGO W TORUNIU.

W piątek, dnia 24 b. m. odbyło się w salce Książnicy im. Kopernika walne zebranie toruńskiego Towarzystwa Graficznego. Udział w zebraniu był więcej niż liczny, gdyż przybyło przeszło 20 grafików miejscowych. Sprawozdanie z działalności zeszłorocznej Towarzystwa zdawał przewodniczący p. Sysko. Działalność ta uwydatniła się niestety tylko w I. półroczu, gdyż w następnym uległa ona przerwie — zdaniem przewodniczącego z powodu naprężenia stosunków w zawodzie graficznym (strajk drukarzy).

Następnie zebrani jednomyślnie oświadczyli się za dalszem kontynuowaniem zadań Towarzystwa, które obecnie przy unormowanych stosunkach w zawodzie graficznym na wyższym poziomie działania, wybrano pod przewodnictwem p. Szutkowskiego nowy Zarząd, do którego weszli pp. Przybylski (prezes), Strzelecki (sekretarz), J. Rosiński (skarbnik), Sysko (bibljotekarz), Stawicki i (radni) jako rewizorzy pp. Szutkowski, Twardowski i Kromczyński.

Przypuszczas należy, że obecn. wszczęta akcja uznowienia działalności Towarzystwa nie będzie słomianym ogniem i że przy poparciu samych grafików toruńskich jak i materjalnem miejscowych zakładów graficznych zdoła sprostać zadaniom, jakie mu wytknęli założyciele.

WAKACYJNE KURSY UNIWERSYTECKIE.

Zgodnie z uchwałą Zarządu Głównego Związku P. N. S. P. (Komisji Krakowskiej) odbędą się w czasie tegorocznych ferji w miesiącu lipcu i sierpniu dwa kursa: 5-ty W. K. U. na Pomorzu w Wejherowie od 4. do 31. lipca, 7-my W. K. U. w Zakopanem od 3. do 28. sierpnia.

Program kursów obejmie trzy działy: a) pedagogiczny, b) krajoznawczy na tle środowiska, c) socjologiczny.

Podobnie jak w ubiegłych latach Zarząd W. K. U. zwrócił się z prośbą do specjalistów i wybitnych prelegentów o objęcie wykładów na kursie Zakopiańskim i pomorskim.

Podania z potwierdzeniem Zarządu Ogniska o przyjęcie na kurs wnosić należy do Zarządu W. K. U. w Krakowie, Rynek 29. Związek P. N. S. P. do dnia 15-go maja 1925 r. — W prośbie o przyjęcie należy podać dokładny adres (pocztę podkreślić).

Opłata za kurs wyniesie 70 zł (wykłady i umieszczenie wspólne po 5—12 osób w jednej sali). Połowę opłaty należy uiścić równocześnie z podaniem o przyjęcie, zaś resztę do dnia 10-go czerwca br. Stołówkę organizuje Zarząd. Koszta utrzymania w Zakopanem i w Wejherowie pokrywają uczestnicy na miejscu. Wyniosą one około 3.50 zł dziennie.

Każdy z uczestników ma zabrać ze sobą jasiek, bieliznę pościelową i koc. Celem codziennego korzystania z kąpieli morskiej w pobliskiej Gdyni połączonej z Wejherowem 16-tu pociągami dziennie, należy przesłać fotografję dla uzyskania miesięcznego biletu za cenę 10 zł (które uczestnicy wpłacą na miejscu).

Zaznaczamy, że po Kartuzach jest Wejherowo najpiękniej położoną miejscowością na Kaszubach.

RUCH WYDAWNICZY.

„MUZYKA".

Ukazał się nr. 3/5 miesięcznika „Muzyka" redagowanego przez M. Glińskiego. Obszerny ten zeszyt, wydany w pięknej formie zewnętrznej i ozdobiony licznemi ilustracjami, zawiera na wstępie niedrukowany wiersz R. M. Rilkego p. t. „Muzyka", oraz artykuły następujących wybitnych muzyków współczesnych: M. Ravela „O muzyce szopenowskiej", F. Weingartnera „O sztuce kapelmistrzowskiej", St. Niewiadomskiego „Stanisław Moniuszko", L. Różyckiego „O operze Casanova", A. Simon „Filozofja muzyki Hoene-Wrońskiego", K. Szymanowskiego „Maurice Ravel", A. Wieniawskiego „Ś. p. Jan Reszke". Treść numeru uzupełnia niezwykle bogaty dział bieżący, ankieta w sprawie Filharmonji Warszawskiej i nowowprowadzone „Rzeczy Wesołe". W dodatku nutowym: pieśń A. Szeluty.

Do numeru dołączone są jak zwykle kupony ulgowe do Opery, Filharmonji i in. sal koncertowych. Numer zawiera 60 stron (20 ilustracji) i kosztuje 1,50 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Kapucyńska 13

Redaktor naczelny: Jan Zagierski. Nakładem i czcionkami Drukarni Robotn. W. Pawlak i S-ka w Toruniu. Redaktor odpowiedz.: Franciszek Kwiatkowski.

twarzy pracowników, dążących na widowisko walki, dusza doznaje przyjemnego uczucia: Zaprawdę, byli to prawdziwi, silni i niezłomni brytańczycy.

W tym dniu majowym pogoda niedopisywała: naprzemian świeciło słońce i lał deszcz jak z cebra. Cały ranek spędził Monthomeri w aptece na przygotowywaniu lekarstw.

— Mamy dziś kiepską pogodę — zauważył doktór — przypuszczam, że postąpiłby pan rozumnie, odłożywszy swą wycieczkę do okolic na później.

— Nie sir, pójdę dzisiaj.

— Zaledwie przed chwilą otrzymałem list od mistress Potter — ciągnął doktór — ktora wzywa mnie do siebie, a to bardzo daleko, z tamtej strony Engltonu. Prawdopodobnie zejdzie mi u mistress Potter cały dzizń. Więc cóż z tego wyniknie? Ani mnie, ani pana nie będzie w aptece. Musi się pan zgodzić, że to niemożliwe.

— Proszę mi wybaczyć sir, ale ja muszę pójść — odrzekł stanowczo Monthomeri.

Widząc, że spór w danym wypadku nie odniósłby żadnego skutku, doktór zamilkł i po pewnym czasie odjechał do mistress Potter w najpodlejszym stanie ducha. Po jego wyjściu Monthomeri poczuł, że ręce ma rozwiązane. Natychmiast wyszedł do swego pokoju i zapakował do walizki swoje sportowe ubranie. Gdy wrócił do apteki, czekał już na niego Wilson.

— Słyszałem, że pański doktór wyjechał.

— Tak i ma spędzić w Engltonie cały dzień.

— Jednak to nie przynosi panu ulgi. Zresztą do wieczora dowie się o tem, że pan walczył z Mistrzem.

— Istotnie, mister Wilson, przyznam się, że cała ta afera ogromnie mnie niepokoi. Dobrze bę-

dzie, jeżeli zwyciężę. Wówczas otrzymam sto funtów i sytuacja moja znacznie się poprawi. Ale wyobraź pan sobie, że przegram, wtedy wszystkie moje zamiary pójdą na marne. Stracę nawet i ten zarobek. Wszak sam pan przyzna, że przed doktorem ukryć tego nie można.

— Ech, nie myśl pan o tem. Obmyślimy wszystko i postaramy się o to, aby panu źle nie było. Jedynie zastanawia mnie fakt, że dotychczas doktór nie wie o niczem. Wszak obecnie wszędzie, bezwzględnie wszędzie mówią o pańskiej walce z championem z Krocksley. Mówiliśmy już Ermitedżowi, że pan występuje do walki z Mistrzem. Ten Ermitedż postawił na Mistrza znaczną kwotę. On nawet zakwestjonował pańskie prawo do walki w charakterze naszego championa, z tego względu, że należy pan do gminy. Wywiązał się spór, który został roztrzygnięty przez samego Mistrza. Mistrz oznajmił, że chce z panem walczyć bez względu na to, czy ma pan prawo, czy nie. Ermitedż wyraził zgodę, ale ja zażądałem zgody na piśmie. Wie pan, nie mam zaufania do tego jegomościa. On mógłby w ostatniej chwili, żałując pieniędzy, cofnąć się i nie zapłacić. Po długich targach dał mi wreszcie to zobowiązanie, więc jestem spokojny. . . Wiesz pan, panie Monthomeri, tam, w Krocksley, liczą na łatwe zwycięstwo. Przypuszczają, że pan nie może ścierać się z Mistrzem.

— No cóż, zrobię wszystko co, odemnie będzie zależało, — odrzekł Monthomeri.

Śniadanie spożyli młodzi ludzie razem. Była to chwila milcząca i uroczysta. Obydwaj mieli nerwy podniecone. Monthomeri myślał o mającej nastąpić walce. Wilson zaś, który stawiał na niego,

championa, znaczną kwotę pieniężną, lękał się, aby nie stracić tych pieniędzy.

Przed gankiem oczekiwał na nich już parokonny powóz. Konie miały przystrojone uszy w biało-błękitne kokardy. Był to kolor Wilsonowskich kopalni węgla, znany dobrze wśród miejscowych sportsmenów. Powóz szybko pomknął aleją. Przed bramami ustawili się robotnicy i ich żony. Ten tum, złożony z kilkaset osób, powitał swego championa grzmotem oklasków i okrzykami: „niech żyje!„ Monthomeri doznał niezwykłego wzruszenia i wydało mu się, że śni. Siedział, przychylony w tył i rozglądał się dokoła. Z okien i drzwi robotniczych domków powiewały białe chusteczki. To górnicy witali swego szermierza.

Że nie kto inny, ale Monthomeri występował jako champion, było aż nadto widoczne, bowiem Wilson przypiął mu do boku biało - błękitną kokardę.

— Życzymy ci powodzenia! powodzenia! powodzenia! — krzyczeli robotnicy.

Monthomeri miał wrażenie, że znajduje się w położeniu wcale nie romantycznego rycerza, który dąży na pospolity turniej. Chociaż, mimo dość prozaicznych okoliczności, dało się odczuć pierwiastek rycerski. Trzeba wychodzić z tego założenia, że on, Monthomeri, walczy nie tylko o siebie, ale i o innych. A męstwo?! O, za nic! Monthomeri poprzysiągł sobie w duchu, że zachowa męstwo do końca.

W drodze wyminęli Fausetta jadącego amerykanem. Ujrzawszy ich żokiej wstał, strzelił z długiego bata na znak powitania i napowrót rzucił się na siedzenie. Nieco dalej wyminęli znów restauratora Purwisa, który miał twarz czerwoną, jak marynowany pomidor. Przy nim raczyła siedzieć

jego żona, wystrojona odświętnie. Powozów spotykali coraz więcej, aż wreszcie, gdy przebyli siedem mil drogą, wiodącą do Krocksley, powóz Wilsona, upiększony biało-błękitnemi kokardami, przeistoczył się w swego rodzaju kometę, za którą wydłużał się i ciągnął wspaniały, błyszczący ogon. Na wielką drogę wyjeżdżały zewsząd wozy górników, maleńkie szarabany i powozy innego gatunku, przepełnione po brzegi wesoło gwarzącymi ludźmi, spieszącymi do Krocksley. Procesja ta zajęła przynajmniej ćwierć kilometra. Turkot kół, trzask biczów, tupot końskich kopyt, krzyki, wymysły — wszystko to jak gdyby unosiło się w powietrzu. Wśród powozów snuli się pojedyńczy jeźdźcy i piesi, a następnie przyłączył się do procesji zupełnie niespodzianie szwadron cheffielskiej kawalerji. Żołnierze, dzwoniąc ostrogami, przygalopowali z pola, gdzie odbywali właśnie ćwiczenia i okrążyli powóz jak eskortą. Poprzez obłoki kurzu Monthomeri odróżnił błyszczące hełmy, jasne mundury, kosmate grzywy koni i wesołe, ogorzałe twarze żołnierzy. Zaiste, wszystko to sprawiało wrażenie snu.

Wkrótce ich oczom ukazał się niezbyt przyjemny widok. W dali wyrastał szereg niezgrabnych budynków nakształt olbrzymich butelek. Był to krocksleyski browar. Jednocześnie niemal zatrzymał procesję przecinający drogę jeszcze dłuższy pochód. Cała prawie droga była wprost zalana powodzią powozów i szarabanów. Procesja Wilsona zatrzymała się, oczekując na ich przejazd. Wymijając przeciwnika, ludzie z żelaznej fabryki wykrzykiwali i rzucali obelgi, zależnie od nastroju. Rywale obrzucali się wzajemnie ostrymi kamieniami, podobnymi do brył węgla.

— Wieźcie go, wieźcie! — krzyczeli ludzie

z Krocksley — a czyście mu przyszykowali trumnę, żeby go napowrót w niej zabrać?

— No, no, powoli! — odpowiadano ze strony Wilsona — a gdzie macie swego koślawca? Niech się każe sfotografować, przynajmniej będziecie widzieli, jaką miał gębę.

— Co, to ma być champion? Pfi! Zaledwie niedopieczony doktór.

— Poczekajcie, jak poprzetrąca kulasy waszemu championowi z Krocksley, to dopiero przekonacie się, że doktór.

Takie oto uprzejme zdania wymieniali między sobą współzawodnicy, sportsmeni. Nagle wśród tłumu z Krocksley rozległ się krzyk, przechodząc w nieopisane wycie, pełne zachwytu. Przez drogę pomknęło z wielkim hałasem czteroosobowe lando, zaprzężone w czwórkę koni. Cały powóz był zawieszony czerwonemi wstążkami. Stangret miał biały kapelusz z czerwoną kokarda, a za nim na wysokich sprężynowych poduszkach siedział mężczyzna z kobietą, która jedną ręką obejmowała swego amanta przez pół. Monthomeri rzucił wzrokiem na tę parkę. Mężczyzna był ubrany w pasiste palto, szyję mu okręcała czerwona szarfa, na głowie miał nisko nasuniętą futrzaną czapkę. Towarzyszka jego bezwstydna, ruda o białej cerze kobieta śmiała się głośno. Mistrz — on to był właśnie — przejeżdżając, obejrzał się, spojrzał badawczo na Monthomeri i uśmiechnął się lekceważąco. Uśmiech ten dość szeroki odsłonił brak kilku zębów. Twarz mistrza była okrutna, zła, sina, ospowata o nieubłaganym wzroku i wydłużonych szczękach, świadczących o uporze.

Tuż za tym powozem przesunęło się lando, którem jechali bogaci sportsmeni, czerwoni ze wzburzenia, starsi robotnicy, dozorcy fabryczni i dyrekto-

rowie. Jeden z nich przechylił do ust metalową flaszkę i pił. Przejeżdżając koło Monthomeri, wydał jakiś okrzyk.

Następnie tłum przerzedził się i procesja wraz z dragonami ruszyła na ostatku.

Od Krocksley droga wiodła pomiędzy zielonemi wzgórzami, poszarpanemi i zeszpeconemi przez poszukiwaczy węgla i żelaza. Wógóle cała miejscowość we wszystkich kierunkach była zrujnowana. Olbrzymie sterty śmieci i góry całe żużli świadczyły o tem, że wszędzie grunt był przekopany przez ludzi. Tutaj droga skręcała do wielkiego, rozwalonego w połowie budynku bez dachu. W oknach pozbawionych ram widać było światło.

— Jest to stara fabryka Arrosmitha; walka tu się odbędzie — rzekł Wilson.

I spojrzawszy z niepokojem na Monthomeri, zapytał:

— No, jakże się pan czuje?

— Dziękuję, lepiej nie czułem się nigdy jeszcze — odpowiedział Monthomeri.

— Doprawdy zazdroszczę pańskim nerwom! — zawołał Wilson, który zapewne sam był rozstrojony. — Nie przesadzam wyników, ale widzę, że czyn pana będzie chwalebny. Spojrz pan na ten budynek po prawej ręce — to biuro. Myśmy zajęli je na przebieranie się i ważenie.

Powóz zatrzymał się u stóp wzgórza wśród ogólnych okrzyków. Wzdłuż całej drogi ustawił się już szereg powozów, pode drzwami rozwalonej fabryki było tłocznie i gwarno. Ceny miejsc według olbrzymiego afisza, wynosiły od 1 do 5 szylingów. Psy wpuszczano za pół ceny. Dochód po potrąceniu wydatków przeznaczony był dla zwycięzcy. Już

teraz było widoczne, że wysokość nagrody przekroczy sto funtów.

Tymczasem hałas w drzwiach fabryki powiększał się. Robotnicy domagali się stanowczo, aby psy miały wejście bezpłatne. Jak zwykle dochodziło do kłótni i psy zaczęły szczekać. Tłum stawał się podobny do olbrzymiego morskiego bałwana, który wcisnał się z wązką szczeliną i szuka wejścia.

Czteroosobowe lando, zawieszone czerwonemi wstęgami zatrzymało się przed biurem. Tam też skierowali się Fausett, Purwis, Wilson i Monthomeri.

Był to duży, pusty pokój z brudnemi ścianami, na których widniały jednak białe czworokątne i owalne plamy, świadczące, iż wisiały tu niegdyś obrazy. Na podłodze leżała stara szmata, jedyne zaś meble stanowiły kilka ławek i sosnowy stół, na którym stała miednica do mycia rąk i miska. Poprzeczne kąty pokoju przedzielała portjera pośrodku stał fotel do ważenią.

Podbiegł do nich człowiek wysoki, spasiony w czerwonym krawacie i w niebieskiej nakrapianej kamizelcie. Był to Ermitedż. handlarz mięsa i sadła, pupularny w dzielnicy i zawzięty amator sportu.

— No, no! — krzyknął ochrypłym bulgocącym głosem — przyjechaliście? I przywieźliście swego championa?

— Oto jest we własnej osobie żywy i zdrów — odrzekł Wilson — mister Monthomeri, pozwoli pan, że przedstawię go mister Ermitedżowi.

— Przyjemnie mi peznać pana, sir, bardzo się cieszę, bardzo. Ośmielam się powiedzieć, że my, w Krocksley zachwycamy się pańskim męstwem. Jedyną naszą nadzieją, że walka odbędzie się honorowo. a z naszej strony nikt nie okaże pry-

watnych względów, bo niech ten zwycięży komu los przygadnie. Takie jest nasze zdanie w Krocksley.

— Podobnie i ja sądzę — odrzekł młody zapaśnik.

— Doskonale powiedziane, doskonale pan to powiedział, mister Monthomeri. Pan przyjął na siebie wielki obowiązek i obowiązek ten trzeba spełnić. Co do mnie, to ja zawsze kierowałem się tą zasadą. Ale Mistrz już jest gotów do wagi.

— Ja też jestem gotów.

— Ale pan powinien rozebrać się do wagi.

Monthomeri zerknął okiem na wysoką rudą kobietę, która znajdowała się w pokoju, wyglądając przez okno. Wilson odgadł to spojrzenie i rzekł głośno.

— Naturalnie, idź pan za portje.ę i włóż pan swój bojowy kostjum.

Monthomeri zastosował się do wezwania i po chwili wyszedł z za portjery w ubraniu atlety.

Był niezwykle piękny w tych białych, obszernych spodniach i w pantoflach z żaglowego płótna. Kibić jego ujmował pasek, świadczący o przynależności do pewnego sportowego klubu. Okazało się, że przygotowania do walki poczynił bez zarzatu. Skóra na nim połyskiwała jak jedwab, szerokie ramiona i piękne ręce ujawniały silnie rozwiniętą muskulaturę.

— No, jakże on ci się podoba? — zapytał Ted Barton kobiety, stojącej w oknie. Spojrzała na młodego atletę lekceważąco.

— To ci dopiero okaz! — wycedziła przez zęby. — Szmata nie człowiek. Naprzeciwko mojego ten chłopak zgaśnie, jak świeca. Niech-no mój najmilszy złapie go za kołnierz, tr poleci na drugą stronę.

— Być może, a może i nie! — rzekł Ted Barton. — A wiesz, co powinien! Ostatnie dwa funty, jakie mi zostały w kieszeni postawiłem na niego i to mnie bynajmniej nie smuci. Ale otóż mamy i mistrza! Niech go djabli porwią, jak on dobrze wygląda.

Z po za drugiej portjery wyszedł przeciwnik Monthomeri — krępy, olbrzymi człowiek. Piersi i ręce miał poprostu zastraszające; szedł nieznacznie utykając. Skórę miał ciemną i pokrytą plamami, na piersiach — czarne włosy. Górna część jego ciała robiłe imponujące wrażenie; ramiona były na miarę Kolosa, olbrzyme o czarnym kolorze pięści zwisały ciężko, jak dwa wilkie młoty, natomiast biodra i nogi miał stosunkowo słabe i małe. Pod tym względem Mistrz ustępował Monthomeri, który znów był przedziwnie zgrabny i wyglądał jak grecki posąg. Spotykali się właśnie ludzie, z których jeden poświęcił się i był zdatny do jedynej sztuki, drugi zaś posiadał kwalifikacje do wszelkiego rodzaju sportu. Przeciwnicy spojrzeli na siebie z ciekawością. Jeden był podobny do tęgiego buldoga, drugi — do tresowanego o cienkich nagach i mądrego terriera.

— Jak się pan miewa? — powitał swego współzawodnika Monthomeri.

— Jak się masz? — odpowiedział Mitrz, krzywiąc się ponownie w uśmiechu i pokazują przelotne jedyne swe zęby. Resztę mu wybito w różnym czasie, bowiem nie bez skutku praktykował w ciągu 20 lat na bokserskich popisach.

Po powitaniu Mistrz splunał na ziemiu i zawiązał rozmowę:

— Piękna pogoda! Najbardziej sprzyjająca sprawa, nieprawdaż?

— Rzeczywiście, pogodę mamy piękną — zgodził się Monthomeri.

Rzeźnik Ermitedż, który słyszał tą pogawędkę, ucieszył się w duchu i oznajmił, zwracając się do obecnych:

— Wiecie, najbardziej mi się, podoba wzajemna życzliwość. Ach, jacy to dobrzy ludzie! Ludzie przedniego gatunku! Jakie mięśnie! Jakie kości! A przytem — żadnej urazy do siebie nie mają!

Mistrz skinął głową i podwierdził:

— Niech mu Pan Bóg daruje, jeżeli mnie utrąci!

— A jeżeli ty go utrącisz, to niech mu Bóg dopomoże! — wtrąciła się kobieta.

Mistrz rozgniewał się:

— Trzymaj, dziewczyno, język za zębami — ryknął straszliwie — cóżeś za jedna, ażeby się tu wtrącić? A może chcesz, żebym ja ci przejechał pięścią po mordzie?

Tej groźby widocznie kobieta nie ulękła się bo powiedziała z uśmiechem.

— Najmilszy mój, i bezemnie pracę masz dużą, nasamprzód rozpraw się z tym oto uczonym, a później, zabierzesz się do mnie.

Nieporozumienie kochanków przerwało zjawienie się nowej osoby. Do biura wszedł getleman w futrze i błyszczącym kapeluszem i spotykał się dopiero w odległości pięciu wiorst od Hyde-Parku. Getleman nasunął cylinder na tył głowy, okalając nim, jak ramką, wyniosłą łysinę, uważne, przenikliwe oczy i pomięta, dobroduszną twarz. Następnie wystąpił naprzód krokiem pewnym siebie, jak gdyby był gospodarzem w tym domu.

— Mister stypltoń, korespodent z Lodynu — oznajmił Wilson.

Monthomeri podszedł do dziennikarza:

— Jak się pan miewa, mister Stypiton? Miałem zaszczyt poznać pana podczas wielki walki w „Karinfejskim Klubie", w Piccadilly.

— O, bardzo mi przyjemnie, bardzo mi przyjemnie! — odrzekł Steplton, ściskając dłoń Monthomeri. Proszę mi wybaczyć, ale przedstawia mi się taka masa ludzi, że naprawdę z trudnością zapamiętywam nazwiska. Wilson nieprawdaż? Ogromnie cieszę się pańskim pańskim widokiem, panie Wilson, słowo daję! Na stacji nie mogłem znaleźć powozu i dlatego spóźniłem się.

— Ja, sir, my wszyscy, sir... — zaczął Ermitedź — my wszyscy poprostu dumni jesteśmy, że tak znany w świecie atletycznym człowiek, jak pan, raczył przybyć na nasze skromne przedstawienie.

— Co znowu, co znowu! — bronił się Steplton. — Ja wszak zawsze jestem taki. Wszystko, cokolwiek ma związek z boksem, to zawsze znajduje we mnie najzagorzalszego obrońcę. Zawsze jestem gotów okazać poparcie, zawsze. No, ale tutaj wszystko przygotowane? Zapaśnicy zważeni?

— Nie jeszcze, sir, zaraz będziemy ważyć.

— Bałem się spóźnić na tę właśnie chwilę. A z panem, panie Kraghs, widziałem się. Na pańskiej drugiej walce z Willohem byłem obecny. Najprzód pan go utrącił z nóg, a później on wziął górę. No, jak tam na indykatorze? Sto sześćdziesiąt trzy funty; odrzućmy dwa funty na ubiór, zostanie więc sto sześćdziesiąt jeden... No, a teraz pan, panie młody, na wagę... Na Boga, jakiegoż klubu pan nosi kolory?

— Kolory anonimowego klubu gry w krokieta...

— A jakież prawo pozwala panu nosić te kolory? Ja też należę do tego klubu.

— Ja również.

— Zatem pan jesteś amatorem?

— Tak, sir.

— A jednak występuje pan do walki o pieniężną nagrodę?

— Tak.

— Naturalnie, ma pan świadomość własnych czynów. Pan pojmuje, że dzień dzisiejszy czyni z pana zawodowego zapaśnika, i jeżeli pan po raz wtóry wystąpi o nagrodę pieniężną...

— To nie powtórzy się już nigdy — przerwał Monthomeri.

— Ależ nepawno, będzie to jego ostatnią próbą — wtrąciła kobieta.

Mistrz rzucił na nią spójrzenie okrutne.

— No, zapewne, zapewne, rób pan, jak chcesz — zgodził się Steplton — a obecnie proszę na fotel. Sto pięćdziesiąt jeden, dwa funty odliczymy, pozostaje sto czterdzieści dziew ęć. Różnica o dwanaście funtów, ale za nim przemawia młodość i zwinność. Szanse prawie jednakowe... A więc, panowie, przystępujemy do dzieła. Im prędzej skończymy, tym lepiej. Muszę jeszcze zdążyć na pociąg do Cheffield. Walka, oczywiście, odbędzie się według kwinsberyjskich przepisów. Dwadzieścia trzyminutowych starć z minutowemi przerwami. Dobrze mówię?

— Tak jest, sir.

— Znakomicie. Więc ruszamy!

Szermierze narzucili na siebie palta i całe towarzystwo — główni gracze, szermierze, sekundanci i korespondent — opuścili biuro. Na drodze spotkał ich inspektor policyjny. W rękach miał zapisaną książeczkę. Ta policyjna książeczeka działa sku-

teczniej niż broń i przejmuje lękiem nawet londyńskich dorożkarzy.

— Zmuszony jestem zanotować nazwiska panów, a to na wypadek, gdyby zakłócono porządek — oznajmił inspektor.

Ermitedż obruszył się:

— Czy pan czasem nie zamierza przerwać nam walki?! Jestem Ermitedż z Krocksley, a oto mister Wilson. Znają nas tu powszechnie i zaręczamy, że porządek nie będzie zakłócony.

— Ja notuję nazwiska na wypadek, gdy zajdzie potrzeba sporządzenia protokółu — odrzekł inspektor z flegmatyczną stanowczością i zajął się swoją sprawą.

— A jednak pan mnie zna.

— To nie ma znaczenia. Czy pan będzie księciem, czy nawet sędzią, to obowiązkiem moim zanotować pańską godność. Tak nakazuje prawo i nie warto mówić. Walka będzie się odbywała w rękawicach i ja nie mam prawa jej odwoływać, ale zapisać nazwiska, biorących w niej udział, muszę. A więc notuję: Silas Kraghs, Robert Monthomeri, Edward Barton, James Stepllon z Londynu... Któż jest sekundantem Silas Kraghsu?

— Ja jestem — oświadczyła kobieta — no, i po co wybałuszyliście na mnie oczy? To moja rzecz, nie wasza. Nazywają mnie Anastazją. Proszę pisać trzy „a"...

— Nazwisko Kraghs?

— Johnson. Jestem Anastazja Johnson. Jeżeli pan go wsadzi, to i mnie z nim razem.

— Głupia, kto ci powiedział, że mnie wsądzą? — warknął Mistrz i zwracając się do Ermitedża, rzekł głosem zniecierpliwionym:

— Chodźmy, tak czy owak, bo mnie od tego zawracania głowy wątroba zaboli.

Inspektor ruszył razem z niemi. Gdy podeszli do rozwalonej fabryki, zbliżył się do kasy. Znajdując się w charakterze przedstawiciela prawa, zażądał dla siebie bezpłatnego miejsca w pierwszym rzędzie, skąd mógłby obserwować walkę w interesie państwa i społeczeństwa; w charakterze zaś osoby prywatnej postawił na Mistrza trzydzieści szylingów, siedm na jeden.

Weszli do wnetrzna. Wąski korytarz był natłoczony po brzegi. Przedarli się przemocą przez ten tłum, skierowali drewnianymi schodami na górę i znaleźli się na miejscu sztucznie podwyższonem. Miejsce to było ze wszystkich stron okrążone sznurami na wysokości metra. Monthomeri zrozumiał, że tutaj właśnie, w tym „Kole“ rozstrzygną się jego losy. W jednym z rogów wzniesione powiewała biało-błękitna chorągiew. Tam też zaprowadził go Barton i posadził na drewnianem krześle; obok niego stanął Barton i jeszcze jakiś jegomość, obydwaj w białych krótkich marynarkach.

Tak zwane „koło“ podobne było do czworoboku, mającego dwadzieścia łokci szerokości i tyleż długości. W przeciwległem kącie widniała złowroga postać Mistrza, tuż przy nim znajdowali się sekundanci i ruda kobieta i jakiś mężczyzna o niezwykłem ordynarnym wyrazie twarzy. We wszystkich rogach stały miednice, naczynia z wodą i gąbki.

Wszedłszy na to wzniesienie, Monthomeri był ogłuszony wyciem i krzykami widzów. Nawet pod pierwszem wrażeniem nic nie widział. Ale po upływie kilku minut, podczas których oczekiwano na korespondenta, Monthomeri obrzucił wzrokiem salę, sprawiającą nadar oryginalne wrażenie. Drewnia-

ne miejsca dla widzów wznosiły się ku górze amfiteatralnie. Wszystkie ściany budynku aż czerniały od publiczności. Gdy Monthomeri spojrzał do góry, zauważył, że sala nie ma sufitu i przez czworoboczny otwór widać było przestrzeń nieba, przesłoniętą szaremi chmurami, na których tle przelatywało powoli stado wron. Monthomeri znowu skierował wzrok na widzów, tworzących nieprzejrzany tłum; w pierwszych rzędach widać było wspaniałe stroje, w tyle zaś, wysoko pod ścianami — pstrokaciznę skórzanych fartuszków i perkalikowych ubiorów. Wszystkich twarze zwrócone były na niego, na Monthomeri.

Powietrze zatruwały wyziewy i mdłe zapachy; ordynarny dym taniego, cuchnącego tytoniu kręcił w nosie. Wśród twarzy ludzkich tkwiły psie mordy, z tylnych ławek psy wyły i szczekały. W tym ludzkim natłoku jednostki ginęły. Monthomeri mógł tylko odróżnić miedziane chełmy dragonów, którzy mu tutaj towarzyszyli. W końcu platformy siedzieli reporterzy — trzech miejscowych, dwuch z Londynu. Ale gdzieś się zapodział wszystko mogący korespodent, mister Stypllton? To on tam stoi w wejściu pomiędzy tłumem rozwścieczonych i awanturujących się robotników?

Steplton miał przejście następujące; oddalił się od swych współtowarzyszy, aby przebrać się w inne bardziej odpowiadające, jego zdaniem, nastrojowi i chwili rękawiczki, wskutek czego przyszedł o kilka sekund później. Przeciskając się przez tłum, próbował przejść na platformę. Robotnicy już wiedzieli, że jednym z szermierzy będzie „gentleman“ i sędzią również „gentleman“. A do czego to podobne? Pocóż tu getlemam z Londynu? Sędzią walki powinien być 5woj człowiek — robotnik.

Więc robotnicy zatrzymali Stepltona w przejściu i okrążyli go z wszystkich stron zwartym kołem. Z wściekłością i nieprawdopodobnemi wymysłami nacierali na niego, wygrażając mu przed nosem pięściami. Zwłaszcza zachowywała się burzliwie jakaś kobieta, która ciskała mu niemal do ucha najbrudniejsze i najwstrętniejsze wyrazy. Ktoś nawet uderzył go parasolem.

— Dalej do Londynu, dalej do wszystkich djabłów! Nie potrzeba cię tutaj, nie potrzeba! — rozlegały się krzyki.

Stypiton przystanał i rozejrzał się dokoła. Wśród tego rozwścieczonego tłumu sytuacja stawała się nader niebezpieczną. Nie bacząc na to zachował spokój. Wyjął z kieszeni złoty zegarek położył go na dłoni i oświadczył:

— Za trzy minuty ogłaszam walkę za niedokonaną!

Robotnicy poprostu oszaleli. Oprowadzał ich do pasji pewny siebie wygląd elegackiego dziennikarza i jego nasadznny na tył głowy, błyszczącej cylinder. Groźnie zaciśnięte pięści podniosły się ku górze... Ale jakże uderzyy człowieka który nie zwraca na otoczenie najmniejszy uwagi?

Za dwie minuty ogłaszam walkę za nieodbytą! — znowu oznajmił Stypiton.

Rozległy się bardziej groźne wymysły. Steplton uczuwał na swej twarzy oddech tego rozwścieczonago tłumu. Przed jego nosem zaciśnięta brudna pięść wykonywała znaczące ruchy.

Słuchj, tyś nam niepotrzebny. Idź stąd, pókiś cały!

— Za minutę ogłaszam walkę za nieodbytą! — ponownie oznajmił Steplton. I zimna, niewzruszona jego stanowczość odniosła zwycięstwo nad chwiej-

nym, popędliwym tłumem.

Rozległy się nawoływania.

— Hej, towarzysze, puście go, niech idzie, bo naprawdę walka nie odbędzie się.

— Niech idzie!

— Bull, djabelskie dziecko, zejdź z drogi, słyszysz! Czego chcesz jeszcze? Przecie walki nie będzie!

— Z drogi panu sędziemu! Z drogi gentlemanowi z Londynu!

I Stepiton popychany ze wszystkich stron, omal nie unoszony na rękach tłumu, przedostał się na platformę i zasiadł na krześle, przygotowanem dla niego specjalnie. Przy nim siadł gentleman, obowiązany do liczenia minut. Stepiton zsunął swój cylinder bardziej na tył głowy, oparł się dłońmi na kolanach, a twarz jego przybrała wyraz uroczysty. Bezwątpienia, dziennikarz zdawał sobie sprawę z doniosłości zadania.

Potworny żeźnik Ermitedż, dał znak, że chce mówić:

— Getlemani! — zaczął mówca — starcie nastąpi pomiędzy Silas Kraghs'em, którego nazywamy Mistrzem z Krocksley, a Robertem Monthemeri z Wilsonowskiej kopalni węgla. Zapaśnicy zostali zważeni. Kraghs ma sto sześćdziesiąt jeden funtów, Monthomeri zaś sto czterdzieści dziewięć funtów. Starć zapowiedziano dwadzieścia po trzy minuty każde. Jeżeli walka przeciągnie się aż do końca, to zwycięscą zostanie ten, którego sędzia uzna za najzdolniejszego.

Po tej przemowie Ermitedż zwrócił się do szermierzy i dał znak ręką.

III

— Monthomeri! Kraghs! — zawołał.

Na sali okagmieniu zapanowoła grobowa cisza. Nawet psy przestały ujadać. Zdawałoby się, że ten olbrzymy lokal nagle zaległa pustka. Obydwaj szermierze podnieśli się i naciągnęli na ręce bojowe rękawice białego koloru. Poczem stanąwszy naprzeciwko siebie po środku areny, uścisnęli sobie dłonie. W tej chwili Monthomeri był poważny, Kraghs zaś uśmiechnięty.

Następnie zapaśnicy rozeszli się i zajęli pozycje. Tłum westknął głęboko, jakgdyby tysiące piersi jednocześnie wciągnęły powietrze. Styplton przechylił się w tył na krześle i objął szermierzy krytycznym spojrzeniem. Z góry było widoczne, że ta walka przeistoczy się we współzowodnictwo siły ze zwinnością. Mistrz stał pewny siebie, niezwalczony, oparty mocno na swej skrzywionej nodze, jak na granitowem piedestale. Patrząc na tego kolosa, miało się pewność, że żadna siła nie ruszy go z miejsca. Stojąc na jednym, Mistr doskonale radził sobie ze swoją krzywą nogą i kręcił się na niej w razie potrzeby, jak fryga. Inna rzecz, gdyby miał zrobić krok naprzód lub w tył, wtedy to niedomaganie fizyczne dawało mu się we znaki.

Starcie skończyło się. Momenty jego nie miały nic zajmującego. Przewaga była po stronie Kraghsa.

— Mistrz byt silny w stosunku do tamtego ! — rzekł browiarniany robotnik do swego sąsiada.

— No, ale i ten zuch bez zarzutu zaprzeczał sąsiad — on też potrafi działać. Spójrz tylko, jak on zwinne podskakuje.

— Pewnie, ale Mistrz jest bez porównania silsilniejszy i okrutnie wali. Niech się tylko dobierze do tego młokosa, to poskacze on jak na nitce.

Monthomeri uniknął uderzeń, jako odwetu i zadał przeciwnikowi nowy cios lewą ręką. Wśród publiczności rozległy się znowu oklaski. Zgorszony sędzia wstał.

— Gentlemani! — rzekł — proszę powstrzymać się od takich wybryków, dopóki trwa walka!

Następne trzy starcia przeszły jednakowo. Student zadawał razy coraz częstsze, natomiast Mistrz bił mocniej. Korzystając z doświadczenia, Monthomeri starał się trzymać w pośrodku, wskutek czego Mistrzowi nie udawały się próby zapędzenia go do kąta. Czasem Kraghs wybierał studenta do bocznego sznura, ale ten w podobnych wypadkach unikał podobnej zasadzki, albo też atakował przeciwnika i w ten sposób wywalczył sobie pozycję otwartą. Na sali panowało grobowe milczenie, wśród którego rozlegał się szybki, przyc'szony tupot podbitych gumą pantofli, głuche razy uderzeń i świszczący oddech zmęczonych szermierzy. Co pewien czas padało z ust sędziego: „proszę się rozejść".

Zaczęło się starcie dziewiąte. Obydwaj zapaśnicy znajdowali się w stanie zadowalającym. Monthomeri szumiało trochę w głowie od utrzymanego w kącie uderzenia i dolegał w ból w palcu, jakby z powodu zwichnięcia. Mistrz nie okazywał śladów zmęczenia, oddychając tylko głęboko z przystankami. W natatniku sędziego widniał długi szereg czarnych punkcików. Były to uderzenia, które otrzymał Mistrz z rąk studenta. Ale cóż to były za uderzenia! Jeden z ręki Kraghsa był więcej wart, niż trzy studenta. Monthomeri wiedział doskonale, że bez rę-

kawic nie mógłby wytrzymać już po trzech staociach z przeciwnikiem.

Nastąpiło dziesiąte spotkanie, zatem połowa walki dobiegała końca. Stawka obecnie wynosiła trzy na jeden, ponieważ champion Wilsona przeszedł wszelkie oczekiwanie. Ale znawcy boksu trzymali po stronie Mistrza. Przedewszystkiem w nim doświadczonego szermierza i byli pewni, że wreszcie spełni on swe zadanie. Barton zbliżył się do Monthomeri i szepnął :

— Miej się na ostróżności, młodzieńcze, pamiętaj! On ci teraz spłata figla.

Monthomeri był ogromnie zadowolony ze siebie. Jego przeciwnik znajdowat się w stanie, zapewne jak najgorszym. Otrzymywał razy coraz częstsze i nie używał nawet ruchów obronnych. Student postanowił kuć żelazo, póki gorące i zaatakował przeciwnika, wymierzając mu silne uderzenie prosto w niegoloną czaszkę. Odwetu nie dosta.ł

I nagle Mistrz opuścił gwałtownie ręce i chwycił się za nogę. Sprzyjająca chwila nadeszła.

Napadniej teraz! Napadniej! — zakrzyknął Ted Barton.

Monthomeri rzucił się gwałtownie naprzud, a za chwilę leżał już prawie nieprzytomny pośrodku areny.. Zdawało mu się, że ma złamany kark.

Cale to starcie było wybiegiem. Mistrz używał wypróbowanege sposobu, aby ściągnąć przeciwnika ku sobie i zadać mu ulubione uderzenie z góry. W tym celu właśnie chwycił się za nogę, symulując niedomaganie. Rzuciwszy się nieostróżnie naprzód, Monthomeri wpadł niespodzianie pod jeden z tych ciosów, które przyprawiają o utratę zmysłów każdego człowieka. Kulawy herkules zadał studentowi uderzenie wyciągniętą ręką, z dołu do góry prósto

w podbródek. Student zachwiał się i runął na podłogę jak długi. Tłum był tak poruszny tą sceną, że nie mógł już krzyczeć. Jęczał tylko i ryczał. Otwarłszy szeroko usta i wybałuszywszy oczy, wszyscy patrzeli nawijącego się na podłodze szermierza.

Mistrz szybko podszedł do swej ofiary, gotując się do nowego uderzenia w razie, gdyby student chciał wąać.

— Cofnąć się cofnąć się! — Krzyknął sędzia!

Mistrz nie ustępował.

— Proszę odejść stąd, panie Kraghs, czy pan nie słyszy? — powtórzył surowo Steplton.

Mistrz z ponurym wyrazem twarzy opuśctł ręce i poszedł, utykając, do sznura, ukrutne oczy utkwił w leżącym przeciwniku. Rachmistrz zaczął głośno liczyć sekundy.

Jak przez sen, jak pod dławiącym uciskiem zmory, student chwytał pojedyńcze słowa rachmistrza.

— Raz... dwa... trzy... cztery... pięć...

Oparł się na ręku i usiłował wstać.

— Sześć... siedm...

Monthomeri podniósł się na kolano. Bolało go całe ciało, w głowie miał szum, czuł osłabienie, ale postanowił wstać.

— Ośm...

Był już na nogach. W tej chwili Mistrz rzucił się na niego jak tygrys. Obie ręce miał podniesione do góry. Widzowie zatrzymali oddech i czekali na śmiertelne uderzenia, czekali na smutne zakończenie walki, tem smutniejsze, że ten ostatecznie zwyciężony, ale nie chcący poddać się, szermierz pozyskał ich sympatję.

Czasem ludzki mózg pracuje automatycznie.

Bez żadnego wysiłku, mimowoli, przyszedł na myśl Monthomeri sposób, którego zastosowanie uratowałoby go. Przypomniał mu się syn mistrza, gdy mówił, że ojciec jego źle widzi na lewe oko. I nagle Monthomeri rzuca się na lewo, a w tej chwili spada na niego silne uderzenie. Mistrz odwrócił się i wpadł na niego znowu.

— Wal go! Wal go na ziemię! — krzyknęła Anastazja.

— Milczeć! — zawołał sędzia.

Monthomeri znów rzucił się na lewo, ale Mistrza trudno było oszukać. Kraghs zwrócił wprost do swego przeciwnika i zadał mu cios prosto w twarz. Monthomeri poczuł, jak uginają się pod nim kolana, i z jękiem upadł na ziemię. Teraz już zdawał sobie sprawę, że wszystko skończone. Wiedział, że za żadną cenę nie będzie mógł wstać. Jakby w oddali słyszał zmieszane głosy tłumu i słowa rachmistrza:

— Raz — dwa — trzy — cztery — pięć — sześć.

Nagle Steplton, nie pozwoliwszy doliczyć do dziesięciu, oznajmił:

— Czas!

Była to nader przyjemna niespodzianka.

Ted Barton razem z drugim sekundantem podbiegli do Monthomeri, podniósł go i posadził na krześle. Strumień zimnej wody podziałał na niego orzeźwiająco. Wzdrygnął i rozejrzał się dokoła.

— Patrzcie, oprzytomniał! — zakrzyknął tłum — to zuch dopiero! Udał się wyjątkowo!

Sekundant precz z areny! Czas! krzyknął Stepl:ton.

Mistrz z Krocksley wstał szybko.

— Trzymaj się od niego zdaleka! Zrób sobie odpoczynek — radził Ted Barton.

I Monthomeri znów stanął naprzeciw swego wroga.

Mistrz zmęczył się i ponieważ nie groziło mu już niebezpieczeństwo ze strony tak słabego przeciwnika, spuścił na krótką chwilę rękę. Z tego właśnie momentu skorzystał Monthomeri i nagle w powietrzu błysnęła jego prawa ręka.

Ten cios był wspaniały! Prosty, klasyczny, mocny, skupiający w sobie całą muskulaturę ciała. Uderzenie to ugodziło Mistrza akurat w miejsce najboleśniejsze, a mianowicie, w sam środek niegolonego podbrudka. Tego rodzaju uderzenia mają moc decydującą. Nie wytrzyma ich ciosu żaden człowiek najbardziej silny i najlepiej zbudnwany. Mistrz runął na ziemię plecami, a nogi załopatały mu w jakichś konwulsyjnych drgawkach z takim hałasem, jak gdyby mur spadał.

Na sali rozległy się dzikie okrzyki, wobec których Steplton był bezradny, nie mając już sił na powstrzymanie hałasu. Kulawy kolos leżał na wznak z podkurczonemi trochę nogami; olbrzymia jego pierś pracowała ciężko. Podrzucał się, jak w przedśmiertnej agonji, ale nie mógł już wstać. Wzdrygnął się konwulsyjnie kilka razy, ale wysiłki były daremne!

Tymczasem rachmistrz oznajmiał:

— ...ośm, dziewięć, dziesięć! — i wycie tysiąca głosów zaświadczyło, że Mistrz z Krockslej został sromotnie pokonany.

Monthomeri ubierał się, jakoby śniąc; również jak przez mgłę dojrzał Mistrza, który podszedł do niego, wyszczerzając uprzejmie resztę zębów, podobny do bezzębnego i potulnego buldoga.

Następnie wszyscy rozeszli się do domu, Wilson, Purwis i Fausett wsadził Monthomeri tryumfalnie do powozu. Konie ruszyły. Drogę na przestrzeni

siedmiu kilometrów zalegały tłumy, które witały powracającego zwycięzcę entuzjastycznymi okrzykami: niech żyje!

Wilson był tak podniecony przeżytemi zdarzeniami, że wykrzykiwał;

— Poprostu nie do uwierzenia! Podobną rzecz widziałem pierwszy raz w życiu! Wiesz pan, panie Monthomeri, w Barniegle jest pewien król, który ma o sobie zbyt wygórowane pojęcie. Byłoby dobrze, gdyby pana z nim zetknąć. Mister Purwis! Stawiamy na Monthomer, nieprawdaż?

— Ja śmiało stawiam dwadzieścia funtów! — podchwycił Purwis.

— Ja również — dodał Fausett i, wskazując na Monthomeri, wyrzekł trymfująco:

— Czy wiecie, kto nam towarzyszy w powozie? Oto wszechświatowy champion średniej wagi.

Ale Monthomeri nosił się z myślą w sferze dalekiej od pochlebstw.

— Nie, panowie, obecnie muszę zająć się własnemi sprawami.

— Pozwoli pan, że zapytamy, co to za sprawy?

— Złożenie egzaminu na stanowisko lekarza. W tym też celu potrzebowałem pieniędzy.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi, Monthomeri skierował się do apteki drogą okólną. Widocznie doktór dopiero powrócił, bo jeszcze stał powóz. Podobno podczas nieobecności studenta odwiedzało aptekę kilku pacjentów i z tego powodu Oldakr był w złym humorze.

Zwrócił się do wchodzącego Monthomeri głosem zmienionym, pełnym niezadowolenia.

— Bardzo, bardzo mi przyjemnie, że pan wróciłeś nareszcie, mister Monthomeri. Spodziewam

się, że następnym razem nie weźmie pan urlopu na czas tak gorączkowej pracy.

— Przykro mi, sir, że z mojej winy znalazł się pan w tak kłopotliwem położeniu, — odrzekł Monthomeri.

— Istotnie, sir, byłem w położeniu niezmiernie kłopotliwem — odparł doktór i rzucił wzrokiem na twarz swego pomocnika.

— O Boże! — zakrzyknął — a to co się panu stało w lewe oko?

Chodziło o sińca na twarzy.

Monthomeri roześmiał się.

— Ach, to głupstwo, sir!

— Ale i na brodzie ma pan sińca — ciągnął doktór do reszty rostrojony — to okropne. Pan — że tak powiem — jesteś moim przedstawicielem i pozwalasz sobie spacerować po mieście z taką twarzą... Gdzież to pana... tak poturbowano?

— Wszak pan wie o tem, sir że dzisiaj w Krocksley odbywa się walka na pięści?

— Czy to możliwe, aby pan znajdował się tam razem z tym ordynarnym tłumem?

— Tak, sir, nawet brałem w tej walce pewien udział.

— I któż to pana tak zeszpecił?

— Jeden z zapaśników.

— Kto mianowicie?

— Mistrz z Krocksley.

— O, Boże... Pan go zaczepił napewno?

— Mówiąc otwarcie, zaczepiłem go troszeczkę.

— Ha, mister Monthomeri — zaczął wyniośle doktór — zmuszony jestem, oświadczyć panu, że mój zakład utrzymuje ścisły kontakt — że tak powiem — kontakt organiczny, z najbardziej postępo-

wymi czynnikami w naszem niewielkiem społeczeństwie. Wobec takiego stanu rzeczy znajduję, iż niemożliwem jest...

W tej chwili rozległy się ostre dźwięki trąbki i pod oknami apteki zabrzmiało pieśń:

„Oto jest ten, zwycięzca i bohater“.

To orkiestra z Wilsonowskich kopalni węgla grała na cześć Monthomeri. Na ulicy było aż czarno od tłumu, górników. W sadzie powiewały sztandary o rozmaitych barwach.

— Co to jest? Co to znaczy? — wybuchnął zburzony do głębi doktór.

To znaczy, sir — odrzekł Monthomeri, że, korzystając z nadarzającej się sposobności, zdobyłem pieniądze, niezbędne mi dla dokończenia nauk. Pozatem muszę pana uprzedzić, sir, że w najbliższej przyszłości wyjeżdżam do Londynu. Dlatego radzę, sir, nie tracić czasu i wyszukać sobie odpowiedniego kandydata na moje miejsce.

KONIEC.